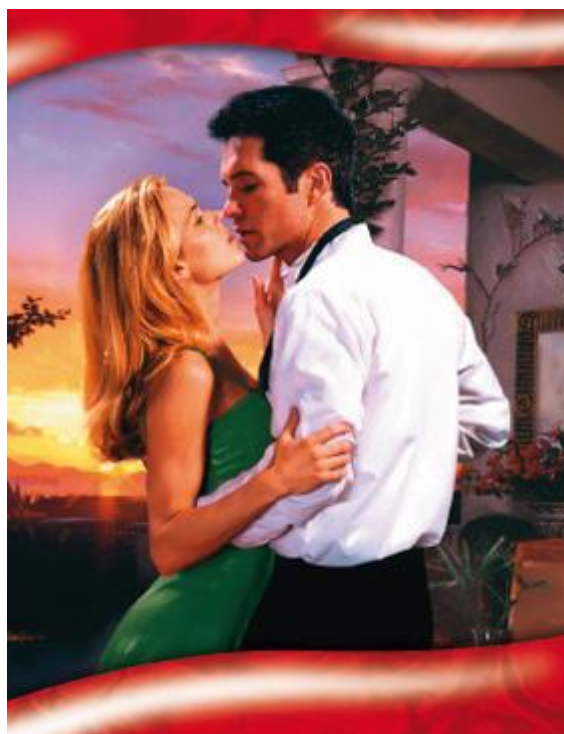




Jennifer Lewis



Dziedzictwo namiętności

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co tu robisz?

Rozkazujący ton i dwoje ciemnych błyszczących oczu, które patrzyły na nią w wieczornym mroku panującym wewnątrz małego domku.

To był on.

Wiedziała, że wcześniej czy później spotka Reynalda De Leona. W końcu to była jego ziemia. Ale wolałaby być na to przygotowana. Lepiej ubrana. Po całym dniu przeglądania i pakowania rzeczy pozostałych po mamie była spocona i zakurzona.

Anna Marcus mocniej zacisnęła palce na papierowej torbie z tłustym jedzeniem kupionym w przydrożnym barze.

Reynald był tak wysoki, że przyglądał jej się z góry. Głęboka zmarszczka pojawiła się między jego czarnymi brwiami.

- Przyszłaś posprzątać?

W maleńkiej kuchni jego masywna sylwetka przytłaczała. Pogardliwie wydał wargi.

- Jeśli masz płacone za godziny, zwrócę ci za dzisiejszą noc, ale musisz powiedzieć swojemu szefowi, żeby był ze mną w kontakcie, zanim cokolwiek zostanie stąd usunięte.

Myśli, że jestem sprzątaczką? Nie rozpoznał mnie?

Nagle wydało jej się, że więcej już nie zniesie. Dopiero co jej matka zmarła niespodziewanie w wieku czterdziestu ośmiu lat. Otrzymała telefon w środku nocy z informacją o wypadku samochodowym na autostradzie na Florydzie...

- Słucham? - Skrzyżował ramiona na drogiej koszuli.

Poczuła łzy pod powiekami. Tylko teraz nie płacz, nakazała sobie. W minionym roku przeżyła bankructwo, rozwód, a teraz jeszcze utratę jedynej osoby na świecie, na którą mogła liczyć. To było...

Głośno zaszeleściła torba, na której zacisnęła dłoń.

- *No habla ingles**? - Uniósł wysoko brwi.

- Mówię po angielsku - prychnęła.

- Cieknie ci z torby.

- Słucham? - Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. - Och! Mój obiad. Złagodniał.

- Idź, zjedz. - Wskazał stół. - Szkoda, żeby się zmarnowało.

* *No habla ingles?* (hiszp.) - Nie mówisz po angielsku?

Może powinna się trochę zabawić jego kosztem, zanim sobie pójdzie? Pozwolić mu wierzyć, że jest sprzątaczką? Ale co za różnica? Ani on, ani jego wyniosły ojciec nie raczyli przyjść na pogrzeb jej mamy.

Chociaż Letty Marcus żyła w ich posiadłości i gotowała im przez ponad piętnaście lat. Najemnica, jak ona czy jej matka, była dla tych ludzi nikim.

Cóż z tego, że skończyła studia? Że miała świetnie prosperującą agencję nieruchomości? Teraz była spłukana i nie miała domu. Jego ocena nie była aż tak daleka od rzeczywistości.

Wzięła talerz z blatu i usiadła za stołem. Wciąż czuła na sobie jego wzrok. Spojrzenie oczu, które zawładnęły Jej młodzieńczymi marzeniami, że może...

Pokocha ją?

Dobry żart. Z głośnym plaśnięciem wyłożyła na talerz wielkiego hamburgera. Ale nagle straciła apetyt. Pod wpływem jego wzroku czuła mrowienie na całym ciele.

- Zamierzasz tak stać i gapić się na mnie?

- Oczywiście. Przecież nie mogę zostawić kogoś obcego bez dozoru na terenie posiadłości. Chyba rozumiesz.

Obcego? Nie wiedziała, czy powinna się śmiać, płakać czy krzyczeć.

Ot, jeszcze jedna nieważna osoba na terenie wielkiego majątku. Najprawdopodobniej nie poświęcił jej ani jednej myśli od czasu, gdy widzieli się ostatni raz na korcie tenisowym.

Ona o nim myślała. Bardzo wiele.

Odłożyła bułkę na talerz i wstała.

- Muszę iść - powiedziała.

Naldo wyjął z portfela dwudziestodolarowy banknot.

- Proszę - powiedział. - Możesz wrócić jutro.

- Nie chcę twoich pieniędzy. - Odwróciła głowę. - Nie jestem głodna. Ty możesz to zjeść.

Naldo omal nie parsknął śmiechem. On miałby jeść ociekającego tłuszczem hamburgera, gdy w domu czekał na niego homar z wody?!

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kawałka papieru, żeby zapisać numer swojego telefonu. Był pewien, że jeśli zdoła odprawić dziewczynę na tę jedną noc, na pewno znajdzie, czego szuka. Domek był bardzo mały.

Dziewczyna milczała. Napisał więc numer na karteczce w kształcie serca wyrwanej z notatnika leżącego na stoliku obok telefonu i podał jej. Na ułamek sekundy jej palce musnęły jego dłoń. Poczul dziwny dreszcz. Zajrzał jej w oczy i jakby piorun w niego trafił... Rozpoznał ją.

- Anna.

Gwałtownie uniosła głowę.

A on nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Tyle czasu minęło - wymamrotał.

- Właśnie. - Zacisnęła pobielale wargi.

- Wyglądasz zupełnie inaczej - rzucił nazbyt pospiesznie.

- Czas swoje robi. Przynajmniej niektórym. Ty się wcale nie zmieniłeś.

- Jesteś taka szczupła.

- Taka moda - rzuciła cierpko.

- I włosy. Kiedyś były rude.

- Rozjaśniłam je.

- Ufarbowałaś włosy? - Nie mógł pojąć, że ta chłopięco wyglądająca i zachowująca się Anna, jaką zapamiętał, mogła zrobić coś tak niezwykle kobiecego.

- Nie rób takiej przerażonej miny. Większość kobiet tak robi.

- Nigdy nie byłaś taka jak większość kobiet.

- A kto powiedział, że teraz jestem? - Jej oczy zabłysły.

Stary ogień wciąż płonął, chociaż w innym piecu. Tylko bardziej sypał skrami.

- Słyszałem, że świetnie sobie radzisz.

Mama była z niej bardzo dumna. Na pewno opowiedziała mu o tym, że Anna z wyróżnieniem skończyła prestiżową uczelnię, że pracowała dla wielkiej firmy budowlanej i że założyła własną agencję nieruchomości, która przynosiła duże zyski.

I o mężu.

- Wszystko jest względne. Sukces też. Podobno posiadłość rozrosła się na skalę przemysłową. - Mówiła głosem chłodnym i opanowanym. Profesjonalna kobieta interesu.

- Tak. Marynaty, dodatki do sałatek, sosy. Sprzedają się świetnie.

- Jestem pewna, że cytrusowe imperium De Leonów przetrwa następnych czterysta lat.

Dobrze, że się udało zmienić temat, pomyślała.

Kiedy wspomniał o jej „sukcesie”, skóra jej ścierpła. Wszystkie jej osiągnięcia legły w gruzy. I jeszcze ten jej strój... Że też musiał ją zobaczyć w zakurzonej koszulce i wytartych szortach. Zmęczoną, bladą, wychudzoną. Wstyd palił jej policzki.

- Wszystkich nas bardzo poruszyła śmierć twojej mamy. - Współczucie i żal w jego oczach sprawiły, że prawie zapomniała, że nawet się nie pojawił na pogrzebie.

Wciąż się nie mogła pogodzić z myślą, że mama odeszła. Że nigdy już nie zamknie jej w objęciach, nie szepnie ciepłych słów.

- Mnie też - szepnęła.

- Mój ojciec zmarł dzisiaj rano.

- Co? - Robert De Leon był okazem witalności. Wysoki, dumny, twardy i niezniszczalny jak drzewa pomarańczowe, które porastały jego imperium.

- Rozległy zawał serca. Trzymał się trzy dni, ale lekarze nic nie mogli zrobić.

- Och! Naldo. - Przycisnęła dłoń do ust.

Jego dumna postawa nie zdołała ukryć bólu w oczach. Zapragnęła przygarnąć go i uściskać.

Nawet o tym nie myśl, powstrzymała się.

Zawsze pragnęła Nalda De Leona. Marzyła, że będzie jej dotykał, adorował ją, kochał. Ale też zawsze wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie.

- Posiadłość jest teraz twoja - powiedziała po chwili.

- Tak.

- Czteryście lat tradycji plantacji De Leonów to dziedzictwo, które robi wrażenie. Wiem, że twój ojciec będzie z ciebie dumny.

Naldo się nie odezwał. Patrzył na nią pełnym arogancji wzrokiem konkwistadorów, których był potomkiem.

Gorączkowo szukała słów, które mogłaby powiedzieć, żeby rozładować napiętą atmosferę. Tylko nie płacz!

Czuła, że się powinna jak najprędzej wynieść. Dwa dni zbierała się na odwagę, żeby tam pojechać, ale najwyraźniej ją to przerosło.

- Przypuszczam, że potrzebujesz tego domu dla innego pracownika.

Przyjadę jutro rano i dokończę pakowanie. Zatrzymałam się w mieście. Muszę już iść. - Spostrzegła, że wciąż ścisnęła w dłoni karteczkę w kształcie serca z numerem jego telefonu.

Ale wiedziała, że do niego nie zadzwoni. Ich znajomość nigdy nie była bliska. Byli kumplami, ale na pewno nie przyjaciółmi.

Położyła kartkę z numerem na stoliku, wrzuciła hamburgera do plastikowego worka na śmieci, odetchnęła głęboko i ruszyła do drzwi.

- Mogę wrócić tu jutro? - spytała.

Na moment zastygła w oczekiwaniu... Na co? Na przyjacielską pogawędkę? Zaproszenie na kolację?

Zabieraj się stąd, dziewczyno.

Prawie wybiegła z domu i wskoczyła do wysłużonej zdezelowanej furgonetki, która cudem przetrwała podróż z Bostonu.

Rozpląkała się. Szlochała tak gwałtownie, że niemal nie widziała drogi przed sobą. Ile razy jeszcze wjedzie na teren posiadłości? Raz? Może dwa? Odkąd zabrakło mamy, nie miała już domu. Nikt na nią nie czekał. Ale była twarda. Była pewna, że jeszcze ułoży sobie życie.

Dwa dni później Anna dygotała z zimna w klimatyzowanym salonie głównego domu posiadłości De Leonów. Stary zegar wybił czwartą. Wokół krążyli obcy ludzie. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Czekali na odczytanie testamentu Roberta De Leona. Prawnik rodziny zadzwonił do niej do motelu i poprosił o przybycie. W rodzinie De Leonów od dawna panował zwyczaj, że testamenty zawierały drobne zapisy dla personelu i służby. Był tam więc na pewno jakiś zapis i dla jej mamy.

Ale na kameralny, rodzinny pogrzeb tego ranka nie została zaproszona.

Wśród zgromadzonych w salonie ludzi widać było wyraźnie dwie grupy. Pracownicy, w zwyczajnych ubraniach, i członkowie rodziny, w eleganckich kreacjach. Naldo, w czarnym garniturze, był olśniewająco przystojny. Nawet jeśli zauważył Annę, nie dał tego po sobie poznać. Stała sama na uboczu i przez olbrzymie okno patrzyła na tysiące akrów najwspanialszych gajów cytrusowych na świecie.

Tego dnia była starannie ubrana. Kostium, buty na wysokim obcasie, biżuteria, makijaż, fryzura. Mama byłaby z niej dumna.

- Panie i panowie, proszę zająć miejsca. - Młody prawnik wskazał cztery rzędy krzeseł. Anna rozpoznała je. Widywała je niegdyś w jadalni, chociaż większość czasu spędzała z mamą w kuchni.

Monotonny głos prawnika odczytującego długą listę legatów płynął wśród zebranych. Tylko pieniądze, rzecz jasna. Posiadłość słynęła z tego, że nigdy nie została podzielona. Przez stulecia nawet najmniejszy kawałek ziemi nie został nigdy oddzielony. Naldo, najstarszy syn, odziedziczył wszystko: ziemię, firmę, nieruchomości. Jego siostra dostała rentę. Kiedy miała dziesięć lat, wyjechała do Europy i wciąż tam mieszkała.

Anna nigdy jej nie spotkała. Poprawiła się na krześle. Buty uwierały ją niemiłosiernie. Dwa tysiące dolarów i dziesięć. Takie były zapisy dla personelu. Spodziewała się, że jej mama powinna dostać więcej, bo pracowała w posiadłości bardzo długo. Jakże przydałyby się Annie te pieniądze! Nie miała nawet na motel.

- Leticii Marcus, oddanej pracownicy i szczerzej przyjaciółce... - Anna uniosła się. - Zostawiam dom, w którym mieszkała, wraz z ziemią, na której stoi, jak zaznaczono na załączonej mapie, oraz książkę receptur, którą wspólnie opracowaliśmy.

Czytał dalej.

Ani grosza?

Serce Anny ścisnęło się.

Gwałtowny hałas skupił uwagę wszystkich na Naldzie. Zerwał się z krzesła i zawołał głosem wibrującym wściekłością:

- Co takiego?!

- Panie De Leon, możemy porozmawiać na zewnątrz? - powiedział najstarszy z prawników. Kipiący z wściekłości Naldo wyszedł za nim.

Anna czuła na sobie ukradkowe spojrzenia. To córka, słyszała szepty. Przełknęła z trudem i wyprostowała się.

Dlaczego Robert De Leon zapisał jej mamie spadek inny niż pozostałym pracownikom?

- Nie mówi pan poważnie. - Naldo krążył gniewnie po korytarzu. - Mój ojciec nigdy by się na to nie zgodził.

- Takie było jego wyraźne życzenie. Osobiście starałem się odwieść go od tego. Próbowałem tłumaczyć, że spójność posiadłości...

- Spójność posiadłości? Ten zapis to kpina. Obraca posiadłość w ruinę. Granice plantacji De Leonów nie zmieniły się, jeśli nie liczyć ich rozwoju, odkąd moi przodkowie przybyli tutaj z Hiszpanii w roku 1583. A pan chce mnie przekonać, że mój ojciec kazał wykroić w samym jej środku olbrzymią dziurę? Dlaczego nie ofiarował jej mojej nerki? To nie do wiary. - Z wielką siłą uderzył dłonią we framugę. Prawnik aż się skurczył.

- Bardzo mi przykro, sir, ale obawiam się, że taka właśnie była wola pańskiego ojca. Jestem pewien, że zrozumie pan obowiązującą mnie tajemnicę zawodową, ale na pewno jest pan świadom okoliczności...

- Jestem świadom okoliczności.

Ojciec miał romans z Letty Marcus. Dziesięć lat trwającą niedogodność w jego życiu i wciąż trwającą obrazę pamięci matki.

Nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Nic się nie da zrobić? Nasi przodkowie na pewno byliby przeciwni czemuś takiemu.

- Wyobrażam sobie, że się teraz przewracają w rodzinnej krypcie, sir. - Żarcik prawnika zirytował Nalda jeszcze bardziej. - Sugeruję, żeby pan porozmawiał z córką. Przypuszczam, że jeśli jej pan zaproponuje odpowiednią sumę pieniędzy...

- Sprzeda.

Kiedy prawnicy skończyli i wyszli, Naldo odszukał Annę. Była śliczna. Chuda, ruda piegowata dziewczynka wyrosła na oszałamiającą kobietę.

Nie miałby nic przeciw temu, żeby spędzić z nią trochę czasu.

- Czy zjesz ze mną obiad?

- Słucham? - Zamrugła, zdumiona.

- Kucharka przygotowuje pieczonego karmazyna. Obiecała, że dopilnuje, by już zaczął puszczać soki, ale jeszcze zachował delikatną miękkość.

Delikatna miękkość jej ust nie uszła jego uwadze.

- Masz już nową kucharkę?

- Tak. Ale oczywiście nie dorównuje twojej mamie... - Chyba nie powinienem był wspominać o kucharce, pomyślał. - Ktoś przecież musi gotować.

- Wyobrażam sobie. - Słysząc było nutki irytacji w jej głosie.

Wziął ją za rękę. Miękka, delikatna skóra, zadbane paznokcie, długie palce. Znowu poczuł dziwne mrowienie.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Zjedz ze mną obiad, Anno. Po śmierci ojca ja... - Patrzył jej głęboko w oczy.

Bardzo chciał, żeby się zgodziła. Nie tylko dlatego, że po śmierci ojca czuł się samotny. Miał problem do rozwiązania i dostrzegał kilka rozkosznych dróg dotarcia do celu.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Zgoda. - Anna pożałowała tego natychmiast, ale trudno. Stało się. Dostrzegła ból w oczach Nalda. Wiedziała, jak bardzo kochał ojca.

- Cudownie. - Skąd ten tryumfujący uśmiezek na jego twarzy? Strach ścisnął jej żołądek.

Naldo skinął na młodzieńca w czarnych spodniach i białej koszuli.

- Tom, podaj dwa *Mojitos** na werandzie, proszę.

Ani na chwilę nie puścił jej ręki. Pochylił się ku niej i szepnął:

- Pozbędę się ostatnich nudziarzy i zaraz do ciebie dołączę.

* *Mojito* - pochodzący z Kuby koktajl z białego rumu, o miętowym smaku.

Z kieliszkiem w dłoni Anna spacerowała po werandzie. Rozmyślała.

Z własnej winy będzie musiała dłużej udawać kobietę sukcesu. Nie mogła pozwolić, by Naldo poznał prawdę. Śmiałyby się z niej.

Upiła łyk koktajlu. Poczwała na języku smak limonki i mięty. Piekący i rozkoszny zarazem. Jak uczucia, które nią targały.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tęskniła za tym miejscem. Posiadłość nazywana była „Paradiso” i była to nazwa wyjątkowo trafna. Mały kawałek raju.

Albo wielki. Zależy dla kogo.

I oto malutka jego część należała do niej.

- Anno! - Nadejście Nalda zaskoczyło ją. I przestraszyło. - Już myślałam, że się ich nigdy nie pozbędę.

Zdjął krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli i sięgnął po wysoką szklaneczkę z koktajlem.

- Boże! Co za dzień. - Na wpół opróżniona szklaneczka stuknęła o blat stołu. - Niech ci się przyjrzę.

Stała nieporuszona, gdy taksował ją spojrzeniem. Tylko mrowienie w czubkach palców i w sutkach stało się nieznośne. Szybko podniosła do ust szklaneczkę.

- Nie wstydź się. Po prostu nie mogę wyjść z podziwu. Nie mogę uwierzyć, że jesteś tamtą kuchareczką z krótkimi włosami, która siłowała się ze mną na ręce. - Jego oczy lśniły wesoło.

Spłynęła na nią fala wspomnień.

- Zwykle pozwalałeś mi wygrać.

- Nigdy nie pozwalałem ci wygrywać. Zawsze mi dokładałaś, dopóki nie dorosłem.

Do śmierci twojej mamy. Potem już nigdy nie przyjechałeś do domu.

Zawsze niecierpliwie czekała na jego wakacje. Wpadał do domu, kipiąc energią i radością. Ale po śmierci mamy zaczął spędzać wakacje gdzie indziej. Jeździł na narty do Aspen. Grywał w polo w Argentynie. Podróżował po Włoszech. Później już nigdy go nie widziała. Wyprowadziła się, zanim skończył studia i wrócił do domu.

I nagle znów się pojawił w jej życiu.

- Zawsze wygrywałam z tobą w tenisa, prawda?

- Na korcie byłaś prawdziwą zmorą. Grywasz nadal?

- Nie. - Zrobiło jej się smutno. - Odkąd stąd wyjechałam, nie miałam czasu na takie rzeczy.

- Za dużo pracy, za mało zabawy. Nie do wiary, jak zeszczuplałaś. Co się stało z twoimi potężnymi mięśniami, z których byłaś taka dumna?

Przepadły, jak i reszta moich sił. W złym małżeństwie i jeszcze gorszej spółce.

Wzruszyła ramionami i zmusiła się do uśmiechu.

- Życie. Sam rozumiesz.

- Twoja mama powiedziała mi, że się rozwiodłaś. Bardzo mi przykro. -
Błysk współczucia w jego oczach ukłuł ją jak ostrze noża.

Nie mogła przecież ukryć swojej porażki przed osobą, której ufała najbardziej na świecie. Ale przynajmniej mama nigdy się nie dowiedziała o finansowej klęsce, która temu towarzyszyła.

- Tak bywa - rzuciła, siląc się na obojętność. - A ty się ożeniłeś?

- Myślę, że znasz odpowiedź. - Nie? - Poczula dziwną ulgę.

- Pewnego dnia będziesz musiał. Od tego zależy przyszłość dynastii De Leonów.

- To prawda. Ciężkie brzemię.

- Zamierzasz podtrzymać rodzinną tradycję i sprowadzisz śliczną księżniczkę z Hiszpanii? - Wciąż pamiętała, jak piękną kobietą była jego matka. Nawet w wieku pięćdziesięciu lat.

Coś dziwnego ujrzała w jego oczach. Wyzwanie?

- Być może. Czego się nie robi dla tradycji?

- Twój ojciec nie ożenił się ponownie. Był samotny?

- Ja z nim byłem - burknął.

- Przez ponad pięć lat po śmierci twojej mamy byłeś poza domem. W szkołach z internatami.

Nozdrza mu się rozszerzyły.

- Czuję karmazyna. Chodźmy do środka - ponaglił. Wszedł do domu, nie czekając na nią.

Co ja takiego powiedziałam?

Mały stolik dla dwojga nakryto w pokoju śniadaniowym. Zawsze go wolała od wielkiej jadalni. Kryształowe kieliszki wypełnione były winem. Na ścianach migotało światło świec. Młody człowiek serwował gorącą rybę na ręcznie malowanej porcelanie.

- Czy to chińska porcelana?

- Tak. Z osiemnastego wieku. Francisco Alvaro De Leon przywiózł ją z wyprawy do Orientu.

Nawet zastawa ma tutaj co najmniej dwustuletni rodowód. A ona? Nie znała nawet swojego ojca.

Wbiła widelec w pachnącą rybę.

- Zajmujesz się handlem nieruchomościami? - spytał.

Odetchnęła głęboko.

- Razem z mężem założyliśmy firmę skupującą i dzierżawiącą obiekty handlowe.

- Interesujące. To trudny biznes. Twoja mama mówiła, że świetnie sobie radzisz.

- Tak. - Przez moment. Nigdy się nie zdobyła na odwagę, żeby powiedzieć mamie prawdę. - Po rozwodzie rozwiązaliśmy firmę. Jeszcze nie zdecydowałam, co będę robić dalej. Twoja nowa kucharka jest doskonała.

Naldo zastygł z kieliszkiem w pół drogi do ust.

- Wszystkim nam będzie brakowało twojej mamy - podkreślił.

Anna z trudem przełknęła ślinę.

- Tak długo mnie nie było. Byłam zajęta, wciąż w Bostonie. Nie przyjeżdżałam tu tak często, jak bym...

- Ona to rozumiała. Uwierz mi, twoje sukcesy cieszyły ją bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Była z ciebie bardzo dumna. Pokazywała wszystkim twoje listy. Opowiadała o twoich osiągnięciach.

Anna poczuła wyrzuty sumienia. Ale cieszyła się, że mama umarła, nie poznawszy prawdy.

Naldo uśmiechnął się szeroko. Czy musiał być aż tak przystojny?

- Na pewno już się nie możesz doczekać powrotu do Bostonu. Nie wyobrażam sobie, żeby wielka, zakurzona farma mogła być dla ciebie atrakcyjna, gdy nie łączą cię z nią żadne więzi rodzinne.

- Wcale nie uważam, że posiadłość De Leonów jest zakurzona.

- No, dobrze. Wielka, piaszczysta farma. - Żart zabrzmiał raczej ponuro. -
Gdzie nigdy nic się nie zmienia. Gdzie tylko kwitną kwiaty i owocują drzewa
pomarańczowe. To nie może być miejsce atrakcyjne dla energicznej
bizneswoman z Bostonu.

- Chyba nie - bąknęła niepewnie.

Poczuła na sobie twarde spojrzenie Nalda i znów ścisnęło ją w żołądku.
Co się dzieje?

- Dwieście tysięcy dolarów. - Powiedział jak rozkaz.

- Słucham?

- Moja cena za domek.

- Nie jest tyle wart - rzuciła, zanim dotarł do niej sens jego słów. Dwieście
tysięcy dolarów? Słońce zajaśniało w jej duszy. Tyle właśnie potrzebowała,
żeby zacząć wszystko od nowa.

- Jutro rano pomogę ci w pakowaniu i przed obiadem będziesz już w
drodze do Bostonu.

Panika. Już przed obiadem będzie w drodze... Na zawsze?

- Mogę na rano przygotować czek.

- Ja... Ja...

- Wiesz co? Zaraz zatelefonuję do banku. Po co czekać? Jestem pewien,
że chciałabyś jak najszybciej wrócić do swojego życia i przyjaciół. - Naldo
rzucił serwetkę na stół i wstał. - Ale zaczekaj... - Zadzwoń do mojego
prawnika i każę mu przygotować dokumenty.

Był już w drodze do drzwi. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Spieszył
się, żeby... się jej pozbyć.

Zirytowała się. Tak łatwo mu to przychodziło. Chciał tego domu. Ona
stała mu na przeszkodzie. A co robi bogaty człowiek, kiedy ma problem? Płaci.

Nie potrzebowała wielkiej wiedzy i doświadczenia, żeby się zorientować,
że dom i kawałek ziemi, na którym stał, nie były warte dwustu tysięcy dolarów.

Dlaczego chciał jej tak dużo zapłacić? Czemu tak szybko?

Rozdzwoniły się w jej głowie dzwonki alarmowe.

- Dlaczego twój ojciec zapisał mojej mamie ten dom? Naldo przerwał wybieranie numeru.

- Pracowała tutaj piętnaście lat. Była wierną i oddaną pracownicą. Czynienie zapisów najwartościowszym pracownikom to nasza rodzinna tradycja.

- Pozostali pracownicy dostali gotówkę.

Naldo wytrzymał jej spojrzenie przez kilka chwil. Potem odwrócił głowę. Chrząknął.

- Ojciec wiedział, jak wiele znaczyła dla niej ta posiadłość. Chciał, żeby zawsze czuła, że ma tutaj swój dom.

- Jestem pewna, że większość pracowników czuje tak samo. Posiadłość jest słynna z tego, że ludzie mieszkają tutaj przez całe życie. Nawet gdy są już zbyt starzy, żeby pracować. To jedna z wielu tradycji, które czynią to miejsce tak wyjątkowym...

Zawahała się. Przyszło jej do głowy niespodziewane podejrzenie.

- Czy twój ojciec się obawiał, że po jego śmierci będziesz się chciał jej pozbyć?

Naldo zacisnął zęby.

- Dlaczego miałbym to robić? Była najlepszą kucharką w tej części Florydy. A poza tym, jak już mówiłem, cenioną przyjaciółką. - Ściągnął brwi. Skrzyżował ramiona. - Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Anna zamrugnęła. Jej serce waliło jak młotem. O co tu chodzi?

W swoim krótkim testamencie mama zapisała jej wszystko prócz oszczędności. W odręcznej notatce wyraźnie dawała do zrozumienia, jak bardzo zależało jej na tym, żeby móc zostawić Annie coś wyjątkowo cennego. W testamencie nie wymieniono niczego prócz jej rzeczy osobistych. Może dlatego, że dopiero po śmierci Roberta De Leona miała się stać właścicielką czegoś najcenniejszego.

Czyżby mama chciała, żeby zatrzymała domek i cieszyła się nim tak jak ona?

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Musiała je wziąć. Byłaby głupia, gdyby nie wzięła.

- Skoro dom należy do mnie, mogę tu przenocować, prawda?

- Dlaczego niby miałabyś tego chcieć?

- Och! Sama nie wiem. Chyba z przyczyn sentymentalnych. Mieszkałam tu przez siedem lat. Łączy mnie z tym miejscem wiele wspomnień.

Myśli kłębiły jej się w głowie jak szalone. Dlaczego tak mu zależało na kupnie tego domu?

Może po nocy spędzonej w tym domu łatwiej jej będzie się z nim rozstać? Kiedy wyjeżdżała do szkół, nie czuła żalu. Nie mogła się doczekać nowego.

Potem przyjeżdżała kilka razy. Próbowала wtedy namówić mamę do przeprowadzki do Bostonu. Ale nigdy jej się to nie udało.

Teraz jednak, na samą myśl, że powinna zapakować pudła do furgonetki i wyjechać na zawsze...

- Rano dam ci odpowiedź. - Odłożyła widelec. Nagle straciła apetyt.

Na przystojnej twarzy Nalda wyraźnie widać było niedowierzanie i gniew. Bardzo bogaci nigdy nie muszą kryć uczuć.

- Pozwól, że cię odwiozę do motelu - mruknął ponuro.

- Nie trzeba. - Uśmiechnęła się słodko. - Wszystko, co zabrałam ze sobą, mam w furgonetce. Stoi przed domem. Klucz do domu też mam. Od dawna.

- Nie możesz tutaj nocować. Straszny tam bałagan. - Niecierpliwym gestem przeczesał palcami włosy.

Jego irytacja dodała jej sił. Nie możesz wszystkimi dyrygować, kolego, pomyślała.

- Mnie to nie przeszkadza. Wystarczy tylko czysta pościel. No i łatwiej mi będzie kończyć pakowanie.

- Pojadę z tobą.

Do licha! Wciąż nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Nie znalazł tam, gdzie można się było spodziewać. Potem miał na głowie pogrzeb. Co będzie, jeśli ona pierwsza znajdzie? Chciał, żeby przyjęła jego ofertę i natychmiast wyjechała. Zanim zacznie węszyć wokół książki kucharskiej.

Naldo otworzył Annie drzwi przerażająco starej furgonetki.

- Wynajęłaś... to?

- Kupiłam. Uznałam, że doskonale się nada do przewiezienia rzeczy mamy do Bostonu. - Odrzuciła włosy z czoła. - Do zobaczenia jutro.

Chciała zatrzaskać drzwi, lecz je przytrzymał.

- Pojadę z tobą, żeby sprawdzić, czy niczego ci nie potrzeba.

Przyglądała mu się podejrzliwie, ale się tym nie przejął. Był strażnikiem sukcesji De Leonów i najważniejszym jego obowiązkiem była ochrona posiadłości. Musiał usuwać z drogi przeszkody i każdego intruza. Nawet jeśli była nim taka urocza młoda kobieta.

Zamknął drzwi, obszedł samochód i chwycił za klamkę drzwi po stronie pasażera. Nie otworzyły się.

Anna wychyliła się mocno i odkręciła szybę.

- Drzwi ciasno chodzą - wyjaśniła. - Musisz mocno szarpnąć, żeby otworzyć. Nie musisz ze mną jechać. Naprawdę. Zobaczymy się jutro.

Zirytowało go to. Wyraźnie chciała się go pozbyć. To wzmogło tylko jego determinację.

Szarpnął mocno. Drzwi otworzyły się ze straszliwym zgrzytem. Wsiadł.

- Jak wrócisz do domu? - spytała.

- Uwielbiam nocne spacery. - Uśmiechnął się szeroko.

- Jak chcesz.

Nie był pewien, czy to ulotny uśmiezek uniósł kąciki jej warg.

- Przyjechałaś tym gruchotem aż z Bostonu? - spytał z niedowierzaniem.

- Jeździ jak marzenie. - Włożyła kluczyk do stacyjki. Po kilku chwilach rzeżenia silnik zaczął warczeć i trząść samochodem. - Widzisz? - Posłała mu tryumfujące spojrzenie.

Wrzuciła wsteczny bieg i wystawiła głowę przez okno, żeby cokolwiek zobaczyć. Po chwili byli już w drodze. Naldo zacisnął zęby. Gwizdy i warkoty silnika brzmiały okropnie.

- Nie podoba mi się ten dźwięk - mruknął. - Powinnaś to sprawdzić. Znam w miasteczku doskonałego mechanika. To Manny Alvarez. Dam ci jego numer. Albo sam do niego zadzwonię, jeśli chcesz. - Silnik wystrzelił jak z armaty. - Poważnie. Musisz sprawdzić wszystko, zanim ruszysz w drogę do Bostonu.

- Oczywiście. Dziękuję.

Zabrzmiało to bardzo nieszczerze. Uparta. Spróbował ukryć uśmiech. Zawsze taka była. Już jako dziecko.

Zerknął na nią kątem oka. Wyrosła na wspaniałą kobietę. Elegancką i piękną.

- Czemu mi się tak przyglądasz? - spytała z błyskiem w oczach.

- Podziwiam cię. - Uśmiechnął się.

- Przestań. Denerwuje mnie to.

Z zadowoleniem zauważył, że nie miała na placu obrączki. Z tamtym wszystko skończone. Na zawsze.

Kiedy się zatrzymali przed domkiem i wyłączyła silnik, auto westchnęło z ulgą. Dlaczego jeździ takim gratem? - pomyślał. Przecież ma pieniądze.

Uparta.

- Otworzę ci. - Wyciągnął rękę po klucz.

- Dziękuję. Potrafię sama. - Wskoczyła z samochodu.

- Widzę, że z ciebie wciąż taka Zosia Samosia.

- Och, daj spokój. - Rzuciła mu klucz. Złapał go w locie. - Nadal świetnie łapiesz. - Mrugnęła szelmowsko. - Muszę zabrać coś z tyłu. Idź do środka i włącz światła.

- Jasne. - Wszedł do ciemnej kuchni i po omacku dotarł do skrzynki z bezpiecznikami.

Wyłączył bezpiecznik.

- Włącz światło - zawołała.

- Próbuję. Nie ma prądu.

Ciemność skryła błysk radości w jego oczach. Lepiej, żeby nie miała okazji szperać po domu.

- Och! Wspaniale.

- Ostatnio mieliśmy w okolicy kłopoty z zasilaniem. Było tu kilka silnych burz. - Nie kłamał. - Prawdopodobnie do rana wszystko będzie w porządku. Kiedy wrócę do domu, zatelefonuję do firmy energetycznej.

- A skąd było światło w domu?

- Generator awaryjny. Włącza się automatycznie. Nawet nie wiesz kiedy.

- Niektórym to dobrze. Ci biedni wieśniacy, którzy dla ciebie pracują, muszą się tłuc po ciemku.

- Taaak. - Uśmiechnął się w ciemności. Poruszyła go jej postawa.

- Ciekawe, czy mama nadal trzymała świece w... Hura! Są. I zapalki.

Zawsze tu były.

- Ślicznie wyglądasz w świetle świecy - powiedział.

- Ty też. - Uśmiechnęła się słabo. - Tak. Chętnie bym cię ugościła, ale chyba wspaniała dwudaniowy posiłek, który chciałam przygotować, będzie musiał zaczekać. Możesz już iść.

Nie mógł jej powiedzieć, jakie myśli chodziły mu po głowie. Jakie szalone pomysły. Oczyma wyobraźni widział ich dwoje w ciemnej sypialni... Gdyby nie obowiązki wobec rodziny i posiadłości, na pewno uległby pokusie.

Ale cóż... Obowiązek przede wszystkim.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę? Może pomogę ci przy zmianie pościeli?

Przechyliła głowę na bok, wsparła rękę na wąskim biodrze i wypięła do przodu piersi. Psiakrew! Anna miała piersi. I to jakie!

Oblizal wargi.

- Dlaczego mam wrażenie, że znalazłam się w domku babci sam na sam z wielkim złym wilkiem? - spytała.

- Mówię poważnie. Mogę zostać na noc, jeśli nie chcesz być sama w ciemnym domu.

Z trudem ukrył uśmiezek. Zachichotała.

- Nie, dziękuję. Znam tu każdy kąt. Mieszkałam tutaj pamiętasz? Pójdę zaraz do łóżka, a od rana wezmę się za sprzątanie.

- Dobrze. - Uspokoił się trochę, choć gwałtowne żądze nadal nie dawały mu spokoju. Ale temu powinny zaradzić siłownia i zimny prysznic. - Do zobaczenia rano.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! - rozmyślała Anna następnego ranka. Czy ja zwariowałam? Czemu ich nie wzięłam?

Wszystko przez Nalda. Przez tę jego arogancję i pewność siebie. Dlaczego pozwoliła mu ze sobą przyjechać?

Nie chciało jej się zmieniać pościeli po ciemku. Spała więc w tej samej, w której ostatnio spała mama. Wciąż pachniała fiołkami i miłością... domem.

Wtuliła twarz w poduszkę. I marzyła o tym, żeby mama znów ją przytuliła.

Czemu musiałaś umrzeć, zanim zdołaliśmy do siebie wrócić? Znowu poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

Przełknęła łzy i wstała z łóżka. Odetchnęła głęboko. Nie mogła sobie pozwolić na luksus uzalania się nad sobą. Trzeba się brać do roboty i skończyć pakowanie, zanim Naldo się rozmyśli co do pieniędzy.

A prądu nadal nie było.

Otworzyła okno. W nozdrza uderzył ją zapach pomarańczy.

Jak wspaniale!

Nowe drzewka pomarańczowe, które Robert De Leon posadził niedaleko domku, były już okazałe. Gałęzie uginały się pod ciężarem owoców. Była to rzadka odmiana sprowadzona z Włoch o nazwie Cień Lata.

Posadził je, ponieważ jej mama uwielbiała drzewa pomarańczowe. Powiedziała kiedyś, że chciałyby móc żyć pośród nich. Szorstki, lecz czarujący magnat pomarańczowy także je kochał. Sadzili je razem.

A teraz już ich obojga nie było.

Zacisnęła zęby, zeszła na dół i poszła do skrzynki z bezpiecznikami. No tak. Bezpiecznik był wyłączony. Że też wczoraj o tym nie pomyślała. Naldo nie mógł przecież wpaść na to, żeby to sprawdzić. Od takich spraw miał służbę. Ale ona powinna była.

Włączyła bezpiecznik i usłyszała szum uruchomionej klimatyzacji. Wspaniale. To i ekspres do kawy będzie działał. Potrzebowała kawy jak wampir świeżej krwi.

Po kilku minutach trzymała w dłoniach kubek aromatycznego napoju. Pierwszy łyk przywrócił jej chęć do życia. Miała upić następny, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi.

- Co? Kto tam? - rzuciła, na pół senna. Nie miała ochoty otwierać drzwi w różowej piżamie i z potarganymi włosami. Ale łomotanie nasilało się z każdą chwilą.

- Hej, Anno - usłyszała.

Naldo. Czego chciał? Może udać, że mnie nie ma?

Ale furgonetka stała przed domem.

Zacisnęła zęby i uchyliła drzwi.

Naldo miał na sobie strój do gry w polo.

- Twoja furgonetka blokuje przejazd - rzucił niecierpliwie. - Musisz ją natychmiast zabrać.

Czyżby nie znał słowa „proszę”? Poszła do kuchni po kluczyki. Czuła się skrepowana, w skąpej, cienkiej jak bibułka, różowej piżamie.

- Powinnaś parkować pod wiatą. - Wszedł za nią do kuchni. Taki akt agresji rozzłościł ją.

- Furgonetka się nie mieści. Wiaty jest za mała.

- To parkuj na trawniku.

- A dlaczego w takim razie sam nie przejedziesz po trawniku? - Zaczęła tracić cierpliwość.

Ściągnął brwi.

- Przyczepy do przewozu koni muszą mieć gładką drogę. To jest jedyna droga do boiska. Cała drużyna czeka. Lada moment zaczną się zjeżdżać widzowie.

- Tak wcześnie? Która godzina? Ósma?

- Oczywiście. Zanim się zrobi gorąco. Pospiesz się!

Wydawał jej polecenia? Krew w jej żyłach zaczynała wrzeć. Co za arogancja!

Ostentacyjnie powoli sięgnęła po kubek z kawą.

- Na co czekasz? - Przyglądał jej się z niedowierzaniem.

- Piję właśnie moją poranną kawę. Gdybyś nie pamiętał, nie pracuję dla ciebie. - Jej głos drżał z gniewu.

Naldo skrzyżował ramiona. Patrzył na nią twardo. Aż pod wpływem tego spojrzenia jej serce zaczęło bić szybciej. Mocniej zacisnęła drżącą dłoń na kubku.

On tymczasem powoli opuścił wzrok. Przez cieką bawełnę pizamy niemal czuła dotyk jego spojrzenia. I, jak na komendę, jej sutki stwardniały i wyprężyły się.

Naldo uśmiechnął się leciutko.

Anna uniosła kubek do ust. Przystąpiła z nogi na nogę, co sprawiło, że Naldo jeszcze niżej opuścił wzrok. Jej długie, gołe nogi robiły wrażenie.

Poczuła słabość w kolanach. Nagle zabrakło jej tchu. Mechanicznie przyglądała rozczochrane włosy.

- Masz coś przeciwko temu? - rzuciła zaczepnie.

- Ani trochę.

Zrobił krok i zanim się zorientowała, zabrał ze stołu kluczyki. Tego było już za wiele. Z trzaskiem odstawiła kubek na stół.

Tymczasem Naldo, zamiast schować kluczyki za plecami i cofnąć się, zrobił krok w przód i objął ją w talii...

I pocałował. Gwałtownie i zachłannie.

Jej wargi rozchyliły się pod naporem jego języka.

Naldo De Leon mnie całuje!

Spełniało się właśnie jej najskrytsze marzenie. Drżała cała z nieoczekiwanej rozkoszy. Zaciśnęła powieki. Z każdą chwilą zapamiętywała się coraz bardziej.

Nagle Naldo odsunął się.

Co się stało?

Podrzucił kluczyki.

- Dziękuję - powiedział beznamiętnie. I wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Anna energicznie maszerowała chodnikiem. Gotowała się ze złości. Naldo De Leon zasłużył na publiczną chłostę. Nie. Chłosta to za mało. Powinien wisieć.

Wtargnął do jej kuchni i pocałował ją, jakby był osiemnastowiecznym księciem, a ona potulną służącą. Na samo wspomnienie chciało jej się krzyżeć. Miała ochotę stanąć na samym środku słonecznej, spokojnej uliczki w miasteczku Round Lake, którą szła, i wrzeszczeć ile sił w płucach.

Zabrał jej kluczyki, jakby były jego własnością! I nie raczył odnieść. Zostawił furgonetkę na trawie, a kluczyki w stacyjce.

Niewiarygodne.

Podczas gdy ona gotowała się z wściekłości, krążąc po domu, z oddali dolatywała ją wrzawa meczu. Potem kawalkada samochodów do przewozu koni i luksusowych sportowych aut przemknęła przed jej oknami. Tak się bawią bogaci.

Miała chęć chwycić coś ciężkiego, dopaść Nalda i...

Ale nie. Była ponad to.

Odetchnęła kilka razy głęboko dla uspokojenia nerwów i weszła do kancelarii prawniczej. Z torebki wyjęła kopertę, którą prawnik dał jej podczas odczytywania testamentu.

W kopercie był akt własności i mapa jej części posiadłości.

Półtorej godziny później opuszczała biuro mecenasu w dużo mniej bojowym nastroju i z głową pełną prawniczych okrągłych zdań.

Na koniec dowiedziała się, że nie przysługiwały jej żadne służebności, prawa drogi ani inne podobne prawa. A pomysł podjęcia walki sądowej z De Leonami prawnik skwitował śmiechem.

Nie miała wyboru. Musiała sprzedać spadek Naldowi.

Po powrocie do domu znowu na niego wpadła. I to we własnym domu.

- Co robisz w domu mojej mamy?

Nadal miał na sobie strój do polo. Jego potężna sylwetka wypełniała niemal w całości maleńką kuchnię.

- Szukam ciebie - wyjaśnił.

- I pomyślałeś, że wejdiesz, żeby poczekać? - Skrzyżowała ramiona. - Zabrudziłeś podłogę.

Naldo popatrzył na swoje zabłocone buty.

- Przyślę tu kogoś do sprzątania - obiecał.

- Drzwi były zamknięte.

- Mam klucz.

- To jest teraz moja własność. Nie masz prawa! - Coraz bardziej podnosiła głos.

Uspokój się. Musisz dobrze sprzedać ten dom.

- Przepraszam. Jestem trochę zdenerwowana. Miałam ostatnio ciężkie dni.

- Wiem. Przepraszam za ten pocałunek rano. To było niestosowne.

Twarz miał poważną. Nie żartował. Naprawdę przepraszał za to, że ją pocałował. Poczwała ukłucie rozczarowania. Naiwna. Spodziewała się, że ją pokochał do szaleństwa?

- Przeprosiny przyjęte - rzuciła sucho.

- Ja też mam za sobą ciężkie dni. Chyba jestem trochę roztrzęsiony.

Pokiwała głową. A on wpatrywał się w nią w skupieniu.

- Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zjesz dzisiaj ze mną kolację?

Jestem trochę zawstydzony swoim zachowaniem i chciałbym się jakoś zrehabilitować.

I znów mówił to z wielką powagą. Bez cienia drwiny czy żartu.

Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt? Anna z trudem przełknęła ślinę. Jego słowa ją ujęły.

Uspokój się. Jemu zależy tylko na odkupieniu od ciebie ziemi. Ale jej równie mocno zależało na tym, żeby ją dobrze sprzedać.

- Zgoda - przystała. Skłonił się dwornie.

- Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej.

Została sama, walcząc z niezdrową ekscytacją. Przecież chodziło tylko o interes. Dzisiaj wieczorem zamienisz dokumenty na pieniądze i jutro rano będziesz mogła wyjechać z honorem.

Po jego wyjściu przyjrzała się uważnie śladom jego stóp na podłodze. Wszędzie było ich pełno.

W kuchni.

W łazience. Poszedł na górę! Był w sypialni mamy. I w jej sypialni. Przyzwyczajony do tego, że zawsze ktoś po nim sprzątał, nie przejął się tym, że nabrudził w całym domu. W cudzym domu.

Dlaczego to zrobił?

Może chciał w ten sposób udowodnić samemu sobie, że dom nadal jest jego?

A może... szukał czegoś?

Kiedy lśniące czerwone alfa romeo Nalda zatrzymało się przed domem, była już gotowa.

- Hej. - Zmusiła się do uśmiechu. Naldo zajrzał ponad jej ramieniem w głąb domu.

- Widzę, że się pakowałaś.

- Tak. Jakoś nie umiem niczego wyrzucić. Nie wiedziałam, że mama przechowywała całe roczniki „Domu i ogrodu” od 1997 roku. Wiele tam karteczek z jej notatkami i uwagami. Znalazłam nawet artykuł, z którego wzięła pomysł na haftowane zasłony do pokoju na górze.

Zorientowała się, że trajkotała ze zdenerwowania i umilkła.

- Idziemy? - Naldo wyciągnął rękę. Niepewnie podała mu swoją. Spojrzał jej głęboko w oczy i przycisnął jej dłoń do ust.

Zalała ją fala gorąca.

A on odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę stała zdezorientowana. Potem poszła za nim. Wcisnęła się do sportowego auta i zapięła pas.

- Nie sądzę, żebyśmy się rozbili w drodze do domu - rzucił z rozbawieniem. - Ale widzę, że jesteś rozważniejsza niż wtedy, kiedy się ścigaliśmy na wózkach golfowych.

- Rozwaga przychodzi z mądrością. - Zatrzasnęła klamrę pasa. W sportowym fotelu czuła się, jakby leżała w kołysce.

- Wtedy było z ciebie niezłe ziółko.

- Byłam młoda i głupia.

- Byłaś zabawna. - Uruchomił silnik. - Mamy za sobą wiele wspaniałych chwil. - Popatrzył na nią znacząco.

Gdybyż tak było!

- Tak. Byłam jednym z kumpli, prawda? Zawsze gotowa do wyścigów albo do gry w tenisa - powiedziała z goryczą.

- Mówisz, jakbyś czegoś żałowała - zauważył zdziwiony.

Żałuję.

- Obiecałeś, że pójdziesz ze mną na bal maturalny. - Wciąż pamiętała, z jaką niecierpliwością czekała na tamten wieczór.

- Naprawdę?

- Tak cię to śmieszy?

- Nie śmieję się. Po prostu nie pamiętam.

Kątem oka popatrzyła na jego arystokratyczny profil. Nie pamiętał tego, co dla niej było najważniejsze na świecie. Jakże była naiwna.

- Dlaczego miałbyś pamiętać? To nic ważnego. - Zacisnęła zęby.

- Przyznaję, że nigdy nie myślałem o tobie w taki sposób. Byłaś kumplem, kompanem do zabawy, rozumiesz.

- Tak. Wiem. Masz rację. Naprawdę mamy za sobą wiele wspaniałych chwil. - Dołeczki w jego policzkach przypomniały jej tamte czasy, które tyle dla niej znaczyły

- Mówiąc szczerze, to były najlepsze lata w moim życiu.

Spojrzał na nią tak, że pożałowała tego, co powiedziała. Ale co za różnica? Jutro i tak wyjedzie.

Resztę drogi spędzili w milczeniu.

- Teraz to wszystko należy do ciebie - skostatowała kiedy się zatrzymali na podjeździe. - To cudowny dom. Naprawdę ma już czterysta lat?

Naldo roześmiał się.

- Ależ skąd. Nie mam nawet pojęcia, ile razy był odbudowywany po huraganach, pożarach i czym tylko chcesz. Ten stoi od roku 1912. Ściany mają ponad pół metra grubości.

- Czemu są takie grube?

- Wiatr ich nie powali, ogień nie strawi. - Uśmiechnął się. - Ponieważ w mojej rodzinie nigdy niczego nie ubezpieczano, starano się, by każda budowla była niezniszczalna.

- Dom nie jest ubezpieczony?

- Nie. Ani cała posiadłość. De Leonowie zawsze byli zbyt dumni, by brać cudze pieniądze.

- Przypuszczam, że zawsze mieliście dość pieniędzy, żeby sobie poradzić w każdej sytuacji.

- Właśnie tak. Pomogę ci. - Rozpiął sportowe pasy trzymające ją w fotelu. Kiedy jego palce musnęły jej piersi, zadrżała. Jak oparzona wyskoczyła z samochodu. Wysokie obcasy grzęzły w żwirze.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział Naldo.

- Dziękuję. - Założyła za ucho kosmyk włosów. Naldo wziął ją pod ramię i poprowadził po szerokich, kamiennych schodach. Jak w jej marzeniach.

Och, Naldo. Jak to dobrze, że ostatnich osiem lat spędziła w Bostonie, a nie przy mężczyźnie, u którego nigdy nie miała szans.

Podwójne drzwi otworzyły się jak zaczarowane.

- Dziękuję, Pilar. - Naldo uśmiechnął się do gospodyni.

- Cześć - bąknęła Anna. Czowała się niezręcznie. Naldo wciąż trzymał ją pod rękę. Czowała ciepło jego ramienia. I każdym nerwem pragnęła go.

Oszalałaś? Był na tyle bezczelny, że pocałował cię bez twojej zgody, a ty myślisz teraz o...

- Kolacja chyba już gotowa. - Tym razem poszli do wielkiej jadalni. Dwa nakrycia przygotowano na jednym końcu olbrzymiego mahoniowego stołu.

- Twój tata lubił tutaj jadać. Zamierzasz iść w jego ślady?

Czy tylko chcesz mnie onieśmielić?

Przy każdym nakryciu stały trzy kryształowe kieliszki i leżało dwanaście srebrnych sztućców.

Anna podniosła wzrok. Na ścianie ponad kominkiem wisiał wielki portret.

- Ten portret twojej mamy jest bardzo piękny. Ona była bardzo piękna.

Anna zapamiętała ją jako zimną, gwałtowną kobietę, której ostry język krytykował każdego.

- Była też niezwykle błyskotliwa. Mówiła siedmioma językami. Zanim poślubiła ojca, była już znaną tancerką.

- Pamiętam pokój na piętrze z barierką i ścianą z luster. Czy należał do niej?

- Tak. Jeśli nie tańczyła każdego dnia, bolały ją mięśnie. Mogła być primabaleriną.

- Dlaczego zrezygnowała?

- Wyobrażasz sobie, że ojciec pozwoliłby żonie tańczyć na scenie? - Naldo wypił łyk białego wina.

- W balecie? Przecież to nie Moulin Rouge.

- Dobrze wiedziała, jaka była jej rola po ślubie. Stać u boku męża jako głowy rodu. Urodzić potomka. Kochać męża.

Powiedział to tak ponuro, że aż się zdziwiła. De Leonowie uchodzili za wzorowe małżeństwo. Czyżby to były tylko pozory?

- Czy twoi rodzice byli szczęśliwym małżeństwem? - Po rozwodzie wciąż szukała odpowiedzi na pytanie, dlaczego jedni ludzie żyją razem szczęśliwie, a inni nie.

- Oczywiście, że byli dobrym małżeństwem. Wspaniałym. - Powiedział to nadspodziewanie szorstko.

- Muszę ci wyznać, że zawsze się bałam twojej mamy. Była taka... doskonała.

- Była perfekcjonistką. Jak ja. Jeśli jest coś do zrobienia, należy to robić dobrze. Jestem pewien, że się ze mną zgadzasz.

- Oczywiście. A skoro już o tym mowa... - Popatrzyła znacząco na baterię sztucców przy swoim talerzu. - Których powinnam użyć?

- Zaczynij od leżących najbardziej na zewnątrz i posuwaj się do środka. Tak przynajmniej powinno być. Ale możesz, oczywiście, nie przejąć się tym i użyć łyżeczki deserowej, jeśli masz ochotę. Mnie to nie będzie przeszkadzać.

Uśmiechnęła się i wzięła zewnętrzny widelec.

Naldo opadł na oparcie krzesła zadowolony, że udało mu się uciec od niebezpiecznego tematu małżeństwa jego rodziców. Chociaż przez sekundę poczuł irracjonalną potrzebę powiedzenia jej prawdy.

Jak zawsze jednak poczucie obowiązku wzięło górę. Musiał strzec honoru rodziny za wszelką cenę. A to oznaczało dochowywanie sekretów.

Kiedy Anna wkładała do ust kawałek kalafiora, myśli o rodzinnych sekretach uleciały w dal, odegnane gorącą falą pożądania. Nie mógł oderwać od niej oczu. Jej piękno, jej dziewczęca figura i błękitne, mądre oczy rozpały go. Ale niebieska suknia, którą miała na sobie, nie mogła się równać z różową piżamą, w której widział ją rankiem.

Szybko napił się wina. Anna wyglądała najpiękniej, gdy była trochę podniecona i zagniewana i chętnie znów by ją taką zobaczył.

Czy coś by się stało złego, gdyby zażył trochę przyjemności, zanim się zajmą interesami? Pokusa była bardzo silna. Był pewien, że między nimi coś iskrzy.

Jeśli się kocha tak, jak gra w tenisa...

- Naldo. - Głos Pilar wyrwał go z zamyślenia. - Izabela jest tutaj.

Powiedziała, że przyjdzie na kolację.

Naldo zmarszczył brwi.

- Myślałem, że dzisiaj będzie jadła w St. Augustine.

Pilar wzruszyła ramionami.

- Kazałam Vicki usmażyć jeszcze jeden filet. Czy mam dołożyć trzecie nakrycie?

- Tak, proszę.

Cholera! Przyjazd siostry zburzył mu wszystkie plany na ten wieczór. Po cichu liczył, że Izabela natychmiast wróci do Paryża, jak to robiła dotychczas. Ale nie chciał, żeby nadal się czuła intruzem w tym domu.

Wszak to on był teraz głową rodziny i powinien dbać o jej jedność.

- Izabelo. - Wstał, kiedy siostra weszła do jadalni. - Przyłącz się do nas, proszę. Znasz Annę Marcus?

Przez moment obie kobiety mierzyły się spojrzeniami. Potem Izabela podeszła do Anny z wyciągniętą ręką.

- Nie sędzę, byśmy się kiedykolwiek spotkały - powiedziała.

- Nie, raczej nie. - Anna z uśmiechem uścisnęła podaną dłoń. - Kiedy przyjechałam tu z mamą, ty chyba studiowałeś w Europie. Nadal tam mieszkasz, prawda?

- W Paryżu. Chyba że podróżuję służbowo. - Izabela usiadła przy trzecim nakryciu.

- Izabela jest dyrektorem opery - wyjaśnił Naldo, siadając. - Zdecydowanie woli życie i sztukę na kontynencie.

- W Stanach też jest wiele teatrów operowych, prawda? - powiedziała Anna.

- Daleko im do Opery Paryskiej czy do La Scali. - Wydęła wargi Izabela.
- Faj, te warzywa są nieco przywidłe. - Włożyła do ust małej kawałek brokołu. - Służba w Europie jest dużo lepiej wyszkolona. - Nabiła na widelec kawałeczek marchewki. - Och, przepraszam, nie chciałam nikogo urazić. Zapomniałam, że twoja mama u nas służyła.

- Tak. Gotowała tu przez piętnaście lat - powiedziała Anna z dumą.

- Wiem. Widziałam cię podczas odczytywania testamentu. Niezwykła darowizna jak dla kucharki, nie uważacie? - Izabela wypła łyk wina. Na kieliszku został jaskrawy ślad szminki.

- Myślę, że wasz ojciec dobrze wiedział, jak bardzo moja mama kochała to miejsce.

- A może dlatego, że była tak cenną przyjaciółką?

Naldo zeszywniał. O co jej chodzi? Siostra zawsze była nieprzewidywalna. Niebezpieczna.

- Izabela to wolny duch - zwrócił się do Anny. - Nigdy nigdzie długo nie zagrzewa miejsca. Kiedy wracasz do Paryża?

- Chciałam tu zostać na jakiś czas. O tej porze roku w Paryżu jest strasznie tłoczno. Życie byłoby znośniejsze, gdybym miała jakieś miejsce z dala od tego wszystkiego.

- A twój dom na Cap D'Antibes? Albo willa nad jeziorem Como?

- Ach. Klębi się tam teraz mnóstwo okropnych turystów. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym się tam znaleźć. Myślałam o czymś bardziej wiejskim. O jakiejś posiadłości w dolinie Loary na przykład. O miejscu, w którym mogłabym żyć wśród roślin, bliżej natury.

Naldo nawet nie próbował kryć zdumienia.

- Wśród roślin? Nie przypuszczałem, że mogłoby cię zainteresować hodowanie czegokolwiek oprócz paznokci.

- Starzeję się, mój drogi. A jako artystka jestem wrażliwa na piękno natury. Pamiętasz marzenie naszej mamy o kupnie kawałka ziemi w Europie i przeniesieniu tam rodziny?

- Marzenia mamy nie miały nic wspólnego z uprawą roślin. Po prostu w Stanach nigdy się nie czuła do końca u siebie.

- Właśnie, kochanie! Ten pot i trud podczas krzątania przy drzewach pomarańczowych są takie kłopotliwe. Pomyśl tylko, o ileż lepiej byłoby żyć we Francji. Mieć winnicę i produkować szampana. Mógłbyś znowu używać rodzinnych tytułów, a ja mogłabym wysoko nosić głowę w towarzystwie. Nie chcę nawet patrzeć na sok pomarańczowy. Robi mi się niedobrze.

- Znacznie więcej ludzi na świecie pija sok pomarańczowy niż szampana.

- I to jest najlepszy powód, żeby się zająć szampanem - zawyrokowała Izabela.

- Jestem pewien, że nudzimy Annę rozmową o naszych rodzinnych sprawach. Zaprosiłem ją tutaj, żeby porozmawiać o umowie sprzedaży ziemi.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego taki skrawek ziemi w ogóle stanowi jakiś problem. - Izabela upiła łyk wina. - Gdybyś miał odrobinę zdrowego rozsądku, podzieliłbyś to wszystko i sprzedał. Kupcy ustawialiby się w kolejce.

Gniew ścisnął go za gardło.

- Wiesz, że nigdy niczego nie sprzedam.

- Nie? Zobaczymy.

Zdumiona Anna wodziła oczami od Nalda do Izabeli, jakby oglądała mecz tenisowy. Przy pierwszej sposobności odezwała się:

- Mogę sobie wyobrazić, że rozumiem, dlaczego wasz ojciec zostawił mojej mamie ziemię. Ale jakie znaczenie ma książka kucharska?

- Była kucharką, prawda? - Izabela nawet na nią nie spojrzała.

- No, tak. Ale nie wiem, jaką książkę miał na myśli. Znalazłam w domu kilka książek kucharskich. Poza tym swoje ulubione mama miała w kuchni tutaj, w głównym domu. Czy wiecie, o którą mu chodziło?

Naldo wyprostował się na krześle i chrząknął. Wolałby nie otwierać tej puszkę Pandory.

Po śmierci Letty Anna, ze swoją inteligencją i doświadczeniem w interesach, mogła się stać prawdziwą komplikacją.

- Kto to wie? - mruknęła Izabela. - Tata miał różne pomysły. Ale o co, u diabła, chodziło mu z tą książką? Dlaczego nie podzielił ziemi po równo między dwoje swoich dzieci? Dlaczego tak się trzymał tej obrzydliwej, przestarzałej, seksistowskiej tradycji?

Naldo aż się uniósł z gniewu.

- Dostajesz co miesiąc dość pieniędzy, żeby żyć jak królowa. Doskonale wiesz, że De Leonowie doszli do tego, co dzisiaj mają, dlatego że nigdy nie sprzeniewierzyli się tradycji. Ile rodzin może się pochwalić tym, że trwa nieprzerwanie na tej samej ziemi od ponad czterystu lat?

- W Europie mnóstwo. Gdyby nasza rodzina tam żyła, mogłabym zapewne żyć z odrobiną godności.

- Całą godność musielibyśmy zostawić europejskim urządowi podatkowym - powiedział Naldo z przekąsem.

- Bzdury. Jesteś bogaty jak Krezus i tylko nie chcesz się podzielić ze swoją najbliższą rodziną. Niech szlag trafi taką tradycję!

Naldo twardo patrzył jej w oczy.

- Tradycja jest siłą napędową naszej rodziny - przypomniał.

- Tradycja - parsknęła Izabela. - Ona też zapewne tłumaczy tę intymną kolacyjkę, którą przerwałam.

- Anna i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Cieszę się, że znowu się spotkaliśmy.

O co chodzi Izabeli? Nie miał ochoty rozmyślać o niej, miał chęć skończyć jak najszybciej ten nieudany posiłek i znaleźć się z Anną sam na sam. Poznał już smak jej ust. Ale jak smakowała reszta ciała?

- Jak uroczo, mój drogi. - Izabela obracała w palcach kieliszek. - Ale czy się nie obawiasz, że znowu wrócą stare plotki? Chociaż, jestem pewna, że po otwarciu testamentu już i tak aż od nich szumi, więc nie ma to znaczenia.

Wszyscy stąd do Palm Beach wiedzą o małym romansie taty.

Naldo zacisnął pięści.

- Twoje upodobanie do dramatyzowania jest niebywałe - syknął. Kątem oka zerknął na Annę. Dzięki Bogu, była zajęta jedzeniem. - Oboje wiemy, że aby uczcić pamięć mamy, po jej śmierci już nigdy się nie ożenił.

- W tamtych okolicznościach i tak nie miał wyboru.

Na moment mróz ścisnął serce Nalda. Przestraszył się, że siostra zamierza zdradzić tajemnicę śmierci mamy. Największy sekret rodzinny. Zapadła niezręczna cisza.

- Uspokój się, Naldo. - Izabela przeciągnęła palcem po brzegu kieliszka, wydobywając nieprzyjemny pisk. - Chciałam tylko powiedzieć, że mężczyźni zawsze będą mężczyznami. Ale nawet w tak czarująco egalitarnym społeczeństwie jak nasze trudno oczekiwać, żeby De Leon ożenił się z kucharką.

- Słucham? - Anna poderwała głowę.

- Nie słuchaj jej.

- Chcesz powiedzieć, że wasz ojciec... i moja mama? - Anna wbiła wzrok w Izabelę.

- Nie słuchaj głupich plotek - zaprzeczył Naldo. Izabela parsknęła śmiechem.

- Och, Naldo. Tylko mężczyźni tacy jak ty i ojciec mogą uważać, że możliwe jest utrzymanie romansu w sekrecie przez wiele lat. Ale w końcu co to ma do rzeczy, kiedy się jest panem i władcą całej okolicy? - Rzuciła na stół serwetkę. - Na samą myśl o tej słodkiej rodzinie robi mi się niedobrze. Zjem kolację w pokoju.

Wyszła z jadalni, nie patrząc na wściekłego Nalda.

- Naldo - szepnęła Anna. - Ona mówiła prawdę, tak?

- Nonsens. - Jednym haustem opróżnił kieliszek. Napełnił go ponownie i głośno odstawił butelkę.

- Ale to wszystko ma sens. Dlatego zostawił jej ziemię... - Anna tak mocno zacisnęła dłonie na krawędzi stołu, że pobieleły jej kostki.

Naldo nigdy się nie pogodził z postępkami ojca. Nie rozmawiali na ten temat, lecz sprawa zawsze leżała między nimi jak głęboki rów. Zawsze miał nadzieję, że kiedyś wszystko sobie wyjaśnią.

Ale teraz ojca już nie było.

Naldo odchylił się na oparcie krzesła.

- Widzę w twojej twarzy, że to prawda. - Anna pochyliła się do przodu. Wbiła w niego przenikliwe spojrzenie.

- Wiem, że ci się to nie podoba, ale to ma sens.

- Masz rację. Wolałbym, żeby to nie była prawda. - Wsparł łokcie na stole. - To wina twojej matki, że mój ojciec zmarł.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co? - Anna zamrugła gwałtownie. Nie wierzyła własnym uszom.

- Jej śmierć go zabiła - powiedział głucho.

- Zginęła w wypadku. Jak może to być jej wina? Naldo długo patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Kiedy ojciec się dowiedział, że twoją matkę znaleziono we wraku samochodu, zawiozłem go do szpitala. Zanim dojechaliśmy, leżała już w kostnicy. Gdy ją tam zobaczył...

Anna poczuła chłód w całym ciele. Naldo nabrał głęboko powietrza.

- Zemdlął. Złapałem go, gdy upadał. Lekarze się nim zajęli, ale już nigdy nie odzyskał przytomności. To był rozległy zawał serca. Przez trzy dni utrzymywali go przy życiu, podłączonego do aparatury. I umarł.

Anna przygryzła wargę.

- Pękło mu serce - szepnęła.

- Umarł. - Ciemne oczy Nalda zdawały się przeszywać ją na wylot. - Tyle wiem.

- Nie pojmuję, dlaczego nigdy mi nie powiedziała.

Przecież były sobie takie bliskie. Tak jej się przynajmniej wydawało. Kiedy osiem lat wcześniej pojechała do szkół, nie miała dość pieniędzy na częste wizyty w domu.

W tym momencie do jadalni weszła uśmiechnięta nowa kucharka. Widząc ściągniętą twarz Anny, zatrzymała się w pół kroku.

- Filet z soli w sosie koperkowym - powiedziała niepewnie - z młodymi ziemniakami i jarzyną...

- Dziękuję, Vicki. Wygląda wspaniale - przerwał jej Naldo.

Vicki, młoda, pulchna i urocza, postawiła talerze i posłała Annie współczujące spojrzenie. Anna odpowiedziała słabym uśmiechem. Kiedy zostali sami, popatrzyła na Nalda.

- Nigdy mi nic nie powiedziała. Nie miałam pojęcia...
- Zapewne wiedziała, że to było złe. - Wbił widelec w rybę.
- Dlaczego złe? Twój ojciec był wdowcem. Ona nigdy nie wyszła za mąż.

Oboje byli dorośli. W średnim wieku, powiedzmy.

- Ojciec miał zobowiązania wobec mamy. - Mocno zacisnął usta.

Anna głośno wypuściła powietrze.

- Małżeństwo trwa „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Nie wątpię, że kochał twoją mamę z całego serca, ale to nie oznacza, że powinien był umrzeć razem z nią. Nie chciałeś, żeby był szczęśliwy?

- Był szczęśliwy. - Niemal czuła na skórze jego intensywne spojrzenie.

- Tak. - Westchnęła. - Najwidoczniej był szczęśliwy z moją mamą. -

Czuła gniew na Nalda, że zamierzał ukryć przed nią to wszystko. Co jeszcze przed nią ukrywał? - Dlatego rano weszylesz w moim domu? Szukałeś dowodów, które chciałeś zniszczyć?

Między brwiami Nalda pojawiła się głęboka bruzda.

- Zostawiłeś ślady na podłodze w całym domu. Nawet na piętrze.

Wahał się przez moment.

- Tak, szukałem czegoś.

- Czego?

- Biżuterii. Klejnotów rodzinnych, które ojciec dał twojej matce.

- Dał mojej mamie prezenty, a ty chciałeś je, ot tak, zabrać? - spytała urażona.

- Należały do rodziny od ponad stu lat. Są częścią naszego dziedzictwa.

Powinny wrócić do majątku.

- Są wiele warte?

- Tak. Oczywiście, zamierzam wypłacić ci za nie pełną rekompensatę.

- O! Naprawdę? - Nie uwierzyła mu nawet przez sekundę. - Skoro zamierzałeś zapłacić, dlaczego po prostu nie poprosiłeś o nie?

- Bo wtedy zaczęłabyś się zastanawiać, w jaki sposób twoja matka weszła w ich posiadanie.

- A ty nie chciałeś, żebym się dowiedziała o jej związku z twoim ojcem. - Zmarszczyła brwi. - Musiał ją szczerze kochać, skoro ofiarował jej tak cenne klejnoty.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła szorstkiego i wyniosłego Roberta De Leona i drobną, delikatną mamę i uśmiechnęła się lekko.

Ileż radości musieli mieć, wybierając i pielęgnując drzewka pomarańczowe. Jak mogła nie zauważyć, co ich łączyło?

- To był związek z wyrachowania, nic więcej. - Naldo skrzyżował ramiona.

Gniew wzburzył jej krew.

- Teraz widzę to wyraźnie. To przez ciebie twój ojciec zapisał mojej mamie dom i ziemię. Wiedział, że byłeś przeciwny ich związkowi. I że nie zniósłbyś, gdyby ci tu wciąż o nim przypominała. Zrozumiał, że gdyby mu się coś stało, ty byś ją wypędził... Tak jak teraz próbujesz się pozbyć mnie. - Głos jej zadrżał. - Twój ojciec nie chciał pozwolić, żeby mamę wyrzuciono z domu, który kochała.

- Za pieniądze mogłaby kupić wspanialszy dom.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów to dzisiaj nie za wiele.

W oczach Nalda dostrzegła emocje, które nie do końca rozumiała.

- Dobrze. - Kiwnął głową. - Czteryście tysięcy dolarów.

Krew w jej żyłach zmieniła się w lód, kiedy zobaczyła, z jaką zaciętością zacisnął szczęki. Tak bardzo chciał się jej pozbyć?

- Czy to obejmuje także biżuterię? - spytała lodowatym głosem.

- Klejnoty zostaną wycenione, a zapłata uzgodniona.

- Ale przecież jeszcze ich nie znalazłeś. Może mama je sprzedała?

Drzwi się otworzyły. Wszedł Tom zabrać nakrycia. Oboje prawie nie tknęli jedzenia. W milczeniu czekali, aż Vicki postawi przed nimi talerzyki z

tortem owocowym i bitą śmietaną. Starym zwyczajem tego domu posiłki zawsze osobiście podawała kucharka. Żeby można było wyrazić podziw lub wypytać o tajniki jej pracy. De Leonowie zawsze starali się utrzymywać serdeczne stosunki ze służbą. Tym razem Naldo zdobył się tylko na zdawkowe podziękowania.

- Służba musiała wiedzieć o wszystkim - wycodziła Anna, kiedy zostali sami.

- Prawdopodobnie.

- I Izabela także. To nie był aż taki sekret, jak sobie wyobrażałeś.

Naldo odwrócił wzrok.

- Jestem pewien, że mogę liczyć na twoją dyskrecję - powiedział. - Żadne z nas nie chciałoby, żeby nasi rodzice byli obiektem lubieżnych plotek.

- Naprawdę? A może twój ojciec podarował mojej mamie te klejnoty, żeby kupić jej milczenie? Zapłacił za to, żeby była niewidzialna. Sekretna kochanka. - Wstała. Serce jej waliło. - Wstydzę się znajomości z wami wszystkimi. Moja mama była cudowną, kochającą kobietą, którą mój ojciec potraktował w sposób skandaliczny. Twój, najwyraźniej, też.

- Nie rozumiesz sytuacji. - Jego lodowaty głos sprawił, że skamieniała.

- Rozumiem wszystko, co potrzeba. Moja mama była dość dobra, żeby z nią sypiać, ale nie dosyć, żeby ją pojąć za żonę. - Ze wszystkich siła starała się nie rozplakać.

Z zaciśniętymi pięściami wybiegła z jadalni. Omal nie przewróciła Pilar otwierającej przed nią ciężkie drzwi wyjściowe i zbiegła po kamiennych schodach.

Jej furgonetka została przed domkiem.

Zanim dojdzie do domu, do końca zedrze obcasy. Ale musiała iść.

Naldo nie wyszedł za nią. Zresztą nie liczyła na to.

Wiedział, że wróci po pieniądze.

Ona też wiedziała. I ta świadomość sprawiła, że długi marsz piaszczystą drogą był jeszcze bardziej bolesny.

Naldo stał przy oknie sypialni i wyglądał w mrok. Dlaczego Anna tak wszystko utrudniała?

Widział w oddali światełko w domku. Na tle jasnego okna zobaczył jej niewyraźną sylwetkę. Serce mu się ścisnęło, gdy sobie wyobraził, że ona tam, tak jak i on, cierpiała w samotności.

Powinna sprzedać dom i ziemię. Nic jej tu nie trzymało. Wystarczyło tylko uzgodnić cenę. Co za różnica, czy ich rodzice byli kochankami czy nie? Stare dzieje. Nie powinny mieć żadnego wpływu na ich interesy.

Anna uniosła włosy do góry. A on sobie wyobraził, jak obcisła bluzeczka naciągnęła się na jej obfitych piersiach.

Odskoczył od okna, rozpalony. Co za ironia. Jego ojciec zapewne z tego samego okna obserwował swoją kochankę.

Zrobiło mu się smutno. Ojciec był dobrym człowiekiem. Dbającym o innych i uczuciowym. Kochał Letty Marcus jak żonę.

Naldo zastanawiał się, czy był wobec Anny w porządku. Jego grubiańska uwaga o związku z wyrachowania obrażała zarówno pamięć jego ojca, jak i jej matki. I zostawiła mu gorycz wyrzutów sumienia.

Wzdrygnął się. Anna wybiegła ze łzami w oczach. Wciąż nie mógł się pozbyć tego obrazu. Może powinien ją pocieszyć?

Potrzeba odwiedzenia Anny w środku nocy nie miała, oczywiście, nie wspólnego z gwałtownym pragnieniem pocałowania jej. Oczywiście nie marzył także o tym, żeby z niej zerwać ubranie.

Przeciwnie.

Chodziło tylko o to, żeby zaznać kojącego krew spaceru w chłodzie nocy.

Do trzeciej w nocy Anna przetrząsała dom w poszukiwaniu klejnotów. Zajrzała wszędzie, nawet do materacy. Domek był tak mały, że nie było w nim zbyt wielu skrytek.

Wstrząs, jaki przeżyła, kiedy się dowiedziała o romansie Roberta De Leona z jej matką, sprawił, że wszystko zaczęła widzieć w innym świetle.

Każdy przedmiot w domu, każdy skrawek papieru mogły mieć znaczenie. Ale po sześciu godzinach przetrząsania szuflad, pudeł i zakamarków nie znalazła niczego. Żadnych liścików, zapisków. Mama była wyjątkowo dyskretna. I taka lojalna wobec swojego szefa... i kochanka... że nigdy się nie odważyła wspomnieć o tym związku nawet córce. Klejnoty leżały na pewno w sejfie w głównym domu. Mama nigdy nie odważyłaby się w nich pokazać publicznie. I na pewno by ich nie sprzedała.

Przetała zmęczone oczy. Życie jej mamy było pełne pilnie strzeżonych tajemnic. Na przykład Anna nigdy nie poznała nazwiska swojego ojca. Człowieka, który, gdy się dowiedział, że Letty jest w ciąży, spokojnie jej oświadczył, że jest żonaty.

Anna z goryczą pomyślała, że miała wszelkie powody, żeby znienawidzić wszystkich mężczyzn. Pięć lat wcześniej poślubiła Barry'ego Lennoksa pełna radosnych nadziei na długie i szczęśliwe życie u jego boku. Zdradził ją w każdy możliwy sposób.

Małżeństwo oznaczało dla niej wszystko co najważniejsze. Miłość, opiekuńczość, zaufanie. Zawsze sobie obiecywała, że nigdy nie popełni błędów mamy. Że nie pozwoli się wykorzystywać żadnemu mężczyźnie. Ale nigdy jej się to nie udało.

Ciężko opadła na sofę. Sprężyny zaskrzypiały jak przed laty, kiedy miała dziesięć lat i przyjechały z mamą z Cincinnati, by zacząć nowe życie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Czy wystarczy jej sił i nadziei, żeby zacząć wszystko od nowa... jeszcze raz?

Gwałtowne łomotanie do drzwi sprawiło, że serce skoczyło jej do gardła.

- Anno.

Co, u diabła, Naldo robi tu o trzeciej w nocy?

- Wiem, że tam jesteś.

- Odejdź - zawołała zduszonym głosem.

- Wpuść mnie, proszę.

- Przecież masz klucz - burknęła.

Kiedy usłyszała zgrzytanie zamka, zacisnęła zęby. Otarła oczy i wstała.

Naldo miał potargane włosy. Pomięta koszula daleka była od jego zwykłej elegancji.

Ale, niestety, wciąż był zniewalająco przystojny.

I chociaż bardzo chciała, nie mogła w sobie wzbudzić nienawiści do niego.

- Zobaczyłem światło. Też nie mogę zasnąć.

- Szukałam klejnotów. Nie ma ich tutaj.

- Do diabła z klejnotami! - Podszedł bliżej. - Dzięki twojej matce mój ojciec był szczęśliwy. Kochał ją. Kochał ją bardzo.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytała, zdziwiona.

Naldo nie odpowiedział.

Zrobił jeszcze krok i chwycił ją w ramiona. Nie miała dość sił, żeby zaprotestować. Od tak dawna nikt jej nie przytulał.

- Nie byłam u niej prawie trzy lata. - Bolesne wyznanie uzmysłowiło jej, jak wiele straciła.

- Wiedziała, że myślałaś o niej, ale ciężko pracowałaś. - Głaskał ją po plecach. Jej serce przyspieszyło rytm.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca, Naldo. Wiem, że byliście sobie bardzo bliscy.

- Nigdy nie będzie drugiego takiego - powiedział ze smutkiem.

- Jesteś taki jak on.

- O, tak. Uparty jak muł i dwa razy twardszy. Powinienem był pewnie spędzić ranek w bibliotece, czytając kondolencje. Ale ja byłem w sadzie, żeby sprawdzić nawadnianie. Zupełnie jak mój ojciec.

- Nie masz do tego pracowników? - zdziwiła się.

- Mam. - W oczach zamigotały mu wesołe iskierki. - Ale robimy to, ponieważ drzewa są dla nas jak rodzina. Ziemia jest w naszej krwi. Jesteśmy jak piach i kamienie.

- Zwłaszcza jak kamienie. - Uśmiechnęła się. - Zawsze byłeś twardy.

- Ty też. - Poglaskał ją po plecach. A ona odruchowo zacisnęła dłonie na jego muskularnych ramionach.

- Oboje jesteśmy twardzi i uparci. I dlatego dumnie przeżyjemy nasze życie.

Ty tak, ale ja? Nie mogła być niczego pewna. Jej młodzieńcza ufność, pewność siebie zostały starte w pył przez zdradę, rozwód, bankructwo i stratę jedynej osoby na świecie, której mogła zaufać i na którą zawsze mogła liczyć. Potrzebowała naprawdę dużo hartu, żeby jeszcze raz zacząć od nowa.

Naldo przyglądał jej się uważnie. Miała wrażenie, że przeszywał ją wzrokiem na wylot.

Nim jednak zdążyła zareagować, wpił się w jej usta namiętym pocałunkiem. Wcisnął gorący język między jej wargi, objął ją i mocno przytulił. Zmiękła w jego ramionach od nadmiaru doznań, których nawet nie marzyła doczekać.

Delikatnie ścisnął zębami jej wargę, po czym pocałował w szyję. Wplotła mu palce we włosy. Potem opuściła ręce. Kiedy wsunęła mu dłonie pod pasek, gwałtownie wciągnął powietrze. Poczwała, jak bardzo go to podnieciło.

Ileż to razy śniła o takiej chwili.

Jego pocałunki odbierały jej oddech. Ocierała piersi o jego pierś. Tuliła się do niego.

Kocham cię, Naldo. Zawsze cię kochałam.

Prosta myśl jak błyskawica przemknęła jej przez głowę, ale równie prędko ją odeгнаła. Nie odepchnęła jednak dłoni, które wślizgnęły się pod jej bluzkę, rozpięły stanik i ściągnęły wszystko przez głowę.

Naldo natychmiast zamknął w dłoni jej pierś. Przyglądał się Annie z zachwytem. Podziwiał sterczące z podniecenia sutki.

Nie czekał dłużej. Uniósł ją i posadził na stole. Tym samym, na którym niegdyś odrabiała lekcje. Chłodny blat z metalowymi brzegami rozpałił ją jeszcze mocniej.

Wtedy Naldo pochylił się i ścisnął wargami jej sutkę. Z szeroko otwartymi oczami poddawała się coraz namiętniej jego pieścizotom. Po chwili usta Nalda zawędrowały niżej, a wielkie dłonie twardo chwyciły jej wąskie biodra.

Było jej dobrze. Wspaniale. Czysta rozkosz płynęła przez jej żyły. Czowała się, jakby była dla kogoś najcenniejsza na świecie. Jakby komuś na niej zależało. Jakby ktoś ją kochał.

On jej nie kocha. Związek z wyrachowania. Tak powiedział o ich rodzicach.

On był samotny, a ona była na miejscu.

W tym momencie Naldo jednym ruchem zsunął w dół szorty i majteczki i wcisnął głowę między jej uda. Czubek jego języka sprawił, że poczuła żar w całym ciele. Mocno zacisnął dłonie na jej biodrach.

Chłonęła jego obraz. Zaciśnięte powieki, zmierzwiłone włosy. Całkowicie pochłonięty... nią.

Każdy ruch jego języka rozpałił ją coraz mocniej. Mieszał myśli.

Naldo uniósł się. Spojrzał jej prosto w oczy. Miała wrażenie, że zajrzał jej do duszy.

Bez słowa podniósł ją do góry i zaniósł do sypialni na górze. Delikatnie położył na łóżku i wyciągnął się obok niej. Obróciła się ku niemu. Guzik po guziku rozpięła mu koszulę. Przytuliła się do jego szerokiej piersi.

Obsypał ją pocałunkami. Po szyi, policzkach, w usta. Nie przerywając, rozsunał suwak w swoich spodniach i ściągnął je. Niecierpliwie pomogła mu się

ich pozbyć zupełnie. Zaparło jej dech w piersiach. Nagi Naldo, opalony, muskularny, przystojny... Był jak marzenie.

Powoli zdjął z niej szorty i majteczki. Jak za sprawą czarów, w jego dłoni pojawiła się prezerwatywa. Niecierpliwe pożądanie wprawiało w drżenie każdy skrawek jej ciała.

Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Anno. - Nie powiedział nic więcej. Pocałował ją. Bezlitośnie wolno wsunął się w nią. Bezwiednie wyszła mu naprzeciw. Uniosła biodra. Zakręciła nimi.

Rozkoszny ciężar męskiego ciała wgniótł ją w materac.

Naldo ujął jej twarz w dłonie i całował.

Po krótkiej chwili ich ciała odnalazły wspólny rytm. Anna zarzuciła mu ręce na szyję. Przycisnęła do piersi ze wszystkich sił. Czowała, że zbliża się do szczytu. Jak kolejne fale tsunami rozkosz przetaczała się po jej rozpalonym ciele. Ekspłodowała.

- Naldo - zawołała. Wtedy poczuła, że i on dotarł do kresu.

Długo leżeli bez ruchu, spleceni w uścisku. Kropelki potu lśniły na ich ciałach. Oddychali z trudem.

Było im dobrze.

Ziściły się miliony jej dziewczęcych marzeń. Leżała w ramionach Nalda. Poczwała się silna jak nigdy.

Naldo uniósł się. Uśmiechnął się do niej. Cmoknął ją w policzek. Nie rozłączając się z nią, obrócił się na bok. I przytulił ją mocniej.

Odgarnął włosy z jej twarzy. Ujrzała zachwyty w jego oczach i gorący rumieniec oblał jej policzki.

- Jak na korcie - mruknął.

- Słucham? - spytała zdziwiona.

- Kiedy grasz w tenisa, to zawsze dziko, chociaż w pełni kontrolujesz sytuację. Każdy mecz to walka do upadłego. Twoja pasja, jak widzę, objawia się nie tylko na korcie.

- Już dawno nie grałam - powiedziała cicho.

- Tak? Ale coś mi mówi, że wciąż jesteś w wybornej formie. Może zagramy, zanim wyjedziesz?

Zanim wyjedziesz. Jego słowa zabolowały ją. Przypomniały, że te intymne chwile nie miały przyszłości. Prawdopodobnie w ogóle dopuścił do nich tylko dlatego, że wiedział, że jej wyjazd jest bardzo bliski.

- Co się stało? - Usiadł na brzegu łóżka i przyglądał jej się uważnie.

- Nic. Jestem tylko zmęczona.

- Prześpij się. Ja też jestem zmęczony. - Położył się obok niej. Pogłaskał ją po twarzy. Objął w pasie. Spokojnie i wygodnie, jakby robił to setki razy.

Jakby byli prawdziwą parą.

Zamknęła oczy. Nie chciała odbierać sobie tych krótkich chwil. Wszak to tylko jedna noc.

Ramię Nalda ciążyło jej przyjemnie. Całe ciało wibrowało jeszcze niedawną rozkoszą. Z wolna zaczęła odpływać w sen.

Rankiem tylko wgniecenie na poduszce świadczyło o obecności Nalda. Anna zmrużyła powieki przed wpadającym do pokoju słońcem. Czyżby to był tylko sen?

Nie. W pokoju wciąż unosił się jego zapach.

Musiał wyjść bardzo wcześnie. Zapewne codzienne obowiązki. Jeśli zostawił jakąś karteczkę, to chyba na dole. Ale Naldo raczej nie zostawiał karteczek

Westchnęła. I co dalej? Czy spotkają się jeszcze?

Nagle usłyszała szuranie nad głową. Pewnie myszy. Mieszkały tam od dawna.

Głośny zgrzyt nie mógł być dziełem myszy. Usiadła na łóżku. Gdzie, u diabła, było jej ubranie?

Na podłodze obok łóżka znalazła szorty. Wciągnęła je i pospieszyła do swojego dawnego pokoju po czystą koszulkę. Gdy się znalazła u szczytu schodów, usłyszała znad sufitu dźwięk przesuwanych mebli. Zesztywniała ze strachu.

- Hej! - zawołała groźnie, usiłując dodać sobie odwagi. - Co się tam dzieje? - Czyżby ktoś pracował na dachu?

Kiedy niemal tuż nad jej głową otworzyła się kłapa w suficie, aż się skuliła.

W czarnym prostokącie ukazała się głowa Nalda.

- Znalazłem klejnoty.



ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jak tam wszedłeś? - Serce biło jej jak oszalałe.

- Podciągnąłem się na rękach. Weź to ode mnie. - Naldo opuścił ramiona, w których trzymał drewnianą skrzynkę.

Uniosła wieko. I oniemiała. W wyściełanym atłasem wnętrzu mieniły się i migotały szlachetne kamienie i złoto. Ileż tego!

Poderwała głowę, kiedy Naldo zeskoczył tuż obok niej. Cały pokryty był kurzem. Wyjął jej skrzynkę z rąk.

- Zaraz! To mojej mamy. Co robisz?

- Są częścią posiadłości.

- Sam powiedziałeś, że twój ojciec podarował je mojej mamie. Należały więc do niej.

Naldo wetknął skrzynkę pod pachę.

- Już powiedziałem, że wypłacę ci równowartość. - Wyciągnął rękę i zamknął właz na strych. Sufit był tak nisko, że nawet nie musiał się wspinać.

Wtedy straszna myśl przyszła Annie do głowy. Naldo przyjechał tylko po to, żeby znaleźć klejnoty.

Poczuła nagle, jakby stalowa obręcz zacisnęła się na jej sercu.

Uwiódł ją, uśpił... Tylko po to, żeby się dostać na strych i ukraść własność jej matki.

- Oddaj to! - wydusiła przez ściśniętą krtań.

- Powiedziałem, że dam ci pieniądze. - Naldo nie mógł ukryć zdziwienia.

- Skąd mam wiedzieć, że to dobra cena. Muszę je dać do wyceny.

- Sam to zrobię.

- Nie. Nie ufam ci.

Naldo znieruchomiał, jakby go spoliczkowała.

- Wiesz, że jestem człowiekiem honoru.

- O, naprawdę? Wpuściłam cię do łóżka. Spałam z tobą. A kiedy się rankiem obudziłam, znalazłam cię myszkującego po moim domu! - Głos jej się załamał. - Nie ufam ci. Złodziej!

Naldo podał jej skrzynkę. Niemal wyszarpnęła mu ją z rąk.

- Nie jestem złodziejem - powiedział zimno. - Oddaj je do wyceny. Podasz mi kwotę, a ja ci wypłacę gotówkę.

Jego ciemne oczy pałały.

- Tak zrobię - wydusiła. Zaczęła żałować wypowiedzianych słów.

Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Anna tak mocno przycisnęła skrzynkę do piersi, że jej krawędź boleśnie wcisnęła się w skórę.

Tak oto radosne marzenia przekształciły się w koszmar.

- Wielkie nieba! Ci wiktoriańscy jubilerzy naprawdę lubowali się w zdobieniach, prawda? - Jubiler, starszy człowiek z szeroką łysiną i wydatnym brzuchem, oglądał kolejny okaz. - Zrobiono to około 1880 roku. Z wielkim smakiem. Skąd to pochodzi?

- Rodzinne klejnoty - mruknęła Anna.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek widział podobną robotę. Pani rodzina musiała zatrudnić nieznanego dzisiaj jubilera. Niektóre okazy są jeszcze starsze. To na przykład... - Podniósł broszkę z żółtym kamieniem otoczonym wianuszkami niebieskich w grubym, złotym pierścieniu. Paskudną, jak cała reszta. - Musi pochodzić z osiemnastego wieku, jak mi się zdaje. Nie ma śladów używania, ale to się często zdarza. Takich rzeczy nie robiło się po to, by je nosić na co dzień. A ten pierścionek... To może być dobra kopia. Raczej jestem tego pewien. Ale świetnie zrobiona. W czasach elżbietańskich. - Uniósł wysoko brwi i chrząknął. - Miała pani w rodzinie aktorów albo aktorki?

- Wartość. Ile są warte? - wycedziła Anna. Rodowe klejnoty Nalda mieniły się na czarnym suknie, wystawione na spojrzenia oczu, które nigdy nie miały ich oglądać.

- Trudno powiedzieć, kiedy się nie zna ich pochodzenia. Nie ma pani żadnych związanych z nimi dokumentów?

- Nie.

- Będę szczery. Popyt na tego typu wyroby jest niewielki, chociaż przynajmniej część kamieni jest prawdziwa. Mogę pani dać... sto pięćdziesiąt tysięcy za wszystko.

Anna westchnęła.

- Mogą być czeki bankierskie? - Odłożył szkło powiększające.

Pieniądze nie od Nalda! Aż ją skóra zapiekła z ekscytacji.

Ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Poza tym nie ufała temu jubilerowi.

- Ile jestem panu winna za wycenę? - Sięgnęła do torebki po książeczkę czekową, chociaż była przekonana, że nie miała na koncie dość pieniędzy.

- Trudno mówić o prawdziwej wycenie, zatem nic się nie należy. Ale wie pani co? Jest pani taka urocza. Dam pani sto siedemdziesiąt pięć tysięcy. - Pochylił się i wbił w nią wyczekujące spojrzenie.

Anna wstała.

Spakowała biżuterię do skrzynki. W ogóle nie powinna była tu przychodzić.

- Nie mogę ich sprzedać. Należą do rodziny. Muszę się skonsultować.

Wyszła pośpiesznie.

Czyż mogła sprzedać klejnoty rodziny Nalda, jeśli on gotów był za nie zapłacić?

- Zabrałaś je do jubilera na Main Street? - Zirytowany Naldo zacisnął pięści. Zauważył ją wracającą z miasta i natychmiast przyjechał.

- Tam było najbliżej. - Widziała na szybie napis „Wyceny”.

- Właściwie trafiłaś do lombardu. Dziwię się, że nie zaproponował ci gotówki.

Drgnęła. Zbladła nieco. Wysoko upięte włosy odsłaniały smukłą szyję. Czy naprawdę chciała obwieścić całemu światu, że jego ojciec ofiarował rodzinne klejnoty kochance?

- Czemu nic nie mówisz? Zaproponował ci pieniądze?

- Tak. Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy. - Oblizwała zbiegające wargi.

- Wspaniale - parsknął. - Są warte przynajmniej pięć razy tyle. Dzięki Bogu, że nie byłaś na tyle głupia, żeby mu je sprzedać.

- Naprawdę? - Wysoko uniosła brwi.

- Co? - Naldo z trudem hamował gniew. Skrzynka z biżuterią stała na kuchennym stole. Każdy mógł ją zobaczyć.

- Są warte prawie milion? Zawahał się.

- Przynajmniej. Niektóre klejnoty są tak stare, jak... Powiedziałaś mu, skąd je masz?

- Powiedziałam, że to klejnoty rodzinne. - Skrzyżowała ramiona.

Koszulka mocniej opięła jej piersi i uwydatniła sutki. Wiedział już, że były koloru jej warg.

- Mojej rodziny? Powiedziałaś mu, że to o moją rodzinę chodzi?

- Szczerze mówiąc, powiedziałam, że o moją. Jeśli zapomniałeś, należały do mojej mamy.

- Oboje wiemy, gdzie jest ich miejsce. Powinnaś się była dwa razy zastanowić, zanim poszłaś do lokalnego jubilera, który doda sobie dwa do dwóch i natychmiast zmiarkuje, skąd pochodzą.

- A czemu nie miałyby poznać prawdy? - Przechyliła głowę.

Zamrugał. Jej upór doprowadzał go do szału.

- Dlatego że... To są prywatne sprawy mojej rodziny. Jeszcze nam tylko trzeba, żeby jakiś dziennikarz coś zwęszył i zaczął dociekać, co łączyło mojego ojca i twoją matkę.

- A czemuż niby mogłyby interesować dziennikarzy prywatne sprawy dwojga dorosłych ludzi?

- Bo moim ojcem był Robert De Leon.

Oczy Anny zrobiły się wąskie jak szparki.

- A moja mama była kucharką. O to chodzi, tak? Wstydzisz się, że twój ojciec miał romans ze służącą. Jesteś taki sam jak twoja snobistyczna siostra.

- Wiesz, że darzyłem twoją mamę najwyższym szacunkiem. Ale wiesz także, równie dobrze jak ja, że dziennikarze popędzą za każdym skandalem. Naprawdę chcesz, żeby twoja mama była pamiętana jako kucharka, która sypiała ze swoim szefem?

Przez moment nie wiedziała co powiedzieć.

- Być może lepsze to, niż w ogóle nie być pamiętanym - bąknęła.

- Tutaj zawsze będziemy pamiętać o twojej mamie.

- Nieprawda. Starasz się zatrzeć każdy jej ślad. Chcesz kupić ten dom, klejnoty, żeby wszystko było dokładnie tak jak kiedyś, zanim twój ojciec ośmielił się pokochać kogoś innego niż twoja wspaniała matka. Tak wierzysz w idealny obraz ojca, który sobie wymyśliłeś, że nie chcesz się pogodzić z rzeczywistością. Zbliżyła się do niego o krok. - Życie nie jest czarno-białe jak twój strój do polo, Naldo. Nie możesz zrobić rzeczywistości do swoich potrzeb. Prawdziwe życie ma cienie i szarości. Jest w nim pełno bałaganu i chaosu. Często bywa uciążliwe. Ale jest realne. Nie możesz rzucić pieniędzmi i sprawić, żeby to co złe zniknęło.

Naldo zawahał się. Był już rzeczywiście zmęczony. Od dziesięciu lat żył rozdarty między poczuciem lojalności wobec dumnej, lecz trudnego charakteru matki, a ojcem, który znalazł szczęście z niewłaściwą kobietą. Marzył tylko o tym, by wreszcie uporządkować sprawy i zacząć wszystko od nowa.

Anna przejrzała go na wylot.

Poczuł gwałtowną potrzebę uciszenia tej nieznośnej kobiety szybkim i namiętym pocałunkiem.

Ale wziął się w garść.

- Ile chcesz za dom i klejnoty?

Wsparła ręce na biodrach, wypinając pierś do przodu.

Jej oczy lśniły.

- Chcesz wiedzieć, ile musisz zapłacić, żebyś się zamknęła i wyjechała? -

Jej piersi zafalowały.

- Wiesz, że wcale tak nie myślę. Chcę tylko godziwie ci zapłacić.

- Chcesz mieć pewność, że już nigdy nie będziesz miał ze mną kłopotów?

Że nie wrócę, jak niezapłacony weksel, po więcej pieniędzy? Że nie będę przypominać szacownej rodzinie De Leonów, że mają trupa w szafie? Już teraz mogłabym pójść do gazet i opowiedzieć całą historię.

Zastygł.

- Twoja matka nigdy by tego nie zrobiła.

- Oczywiście. Znała swoje miejsce, prawda? Wierna służąca, szczerza i oddana swemu panu i władcy. Tak ostrożna, że nigdy się nie odważyła zwierzyć nawet własnej córce.

Zaczerwieniła się. Oddychała coraz szybciej. Zamierzała się rozplakać?

- To jest haniebne, że twój ojciec przez tyle lat podobno ją kochał, ale nigdy nie zaproponował jej małżeństwa. Jakby nie była jego warta. Wszyscy uważają, że wielki Robert De Leon był rycerski i prawy, wierny pamięci swej pięknej, niemal świętej żony. Mam ochotę im powiedzieć, jakim człowiekiem był naprawdę.

Instynktownie Naldo zrobił krok w jej stronę.

- Nie dotykaj mnie! - Odskoczyła, jakby się bała, że ją uderzy. - Odejdź!

Zostaw mnie.

Rozplakała się.

Naldo dygotał. Z jednej strony miał ochotę potrząsnąć nią ze wszystkich sił, z drugiej zaś przytulić i ukoić.

A jeszcze inna część jego duszy marzyła o tym, by zerwać z niej ubranie...

- Wynoś się!

Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Nie warto się spierać z wściekłą kobietą. Zwłaszcza gdy każda rozsądna myśl jest przerywana gwałtowną chęcią pocałowania jej.

Wsiadł do auta i głośno trzasnął drzwiami. Powinien wyciągnąć nauki z błędów ojca. Nierozważny związek uczuciowy skazał go na życie na skraju skandalu i zapewne przyczynił się do jego śmierci. Naldo nie miał wątpliwości, że ojciec żyłby nadal, gdyby nie Letty Marcus.

Już dawno postanowił, że nie da się usidlić żadnej kobiecie.

Ale teraz potrzebny mu był lodowaty prysznic, żeby schłodzić krew i umysł.

Następnego ranka Naldo jadł grejpfruta w pokoju śniadaniowym. Kiedy usłyszał stukot butów Izabeli, zeszywniał.

- Dzień dobry, braciszku.

- Cześć. - Wygładził leżącą przed nim lokalną gazetę.

- Strasznie dużo czasu potrzeba, żeby się pozbyć panny Marcus, prawda?

Byłam pewna, że już ją spakowałeś i wyekspediowałeś. - Izabela usiadła naprzeciw niego.

- Też na to liczyłem. Nie rozumiem, dlaczego robi tyle trudności. -

Przewrócił stronę. - Ale sprzeda. Zaufaj mi.

- Nie jestem pewna, czy mogę ci zaufać. Naldo uniósł wzrok.

- Co masz na myśli?

- Jest urocza.

- I?

- A ty jesteś mężczyzną. - Ugryzła kawałek grzanki.

- Anna interesuje mnie tylko dlatego, że dbam o naszą ziemię. - Szybko sięgnął po szklanekę z sokiem.

- Mhm. Nie spieszysz się zbyt, jak widzę. Gdzie spędziłeś ostatnią noc?

- W łóżku.

- Chodzi mi o poprzednią noc. Wyszedłeś około trzeciej i wróciłeś na śniadanie.

- Jak to miło z twojej strony, że się tak o mnie troszczysz.

- Nie przesadzaj. Chodzi mi tylko o to, żeby uniknąć kolejnego skandalu w rodzinie.

- W naszej rodzinie nie było skandali. Mama zginęła w wypadku, zapomniałaś?

- Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem. Nie masz pojęcia, ile tata zrobił, żeby wszystko zatuszować. Zapłacił policji, kupił miejscową gazetę. Zamierzasz zrobić to samo?

- Nie muszę nic robić.

- O, naprawdę? Jak się będziesz czuł, jeśli napiszą w gazecie, że sypiasz w domu służącej jak nasz tata?

- A czym miałbym się przejąć? Nie jestem żonaty. Mogę sypiać, gdzie zechcę.

- Z córką kucharki?

- Nie ma nic złego w gotowaniu. Wszyscy musimy jeść. Poza tym Anna tu nie pracuje. Jest świetnie prosperującą kobietą interesu.

Izabela uśmiechnęła się kpiąco.

- Ach, mój drogi. Widzę, że sprawy mają się jeszcze gorzej, niż przypuszczałam. Ale znam cię, Naldo. Trochę dlatego, że jesteś moim bratem, a trochę dlatego, że jesteś taki sam jak nasz ukochany ojciec. Żyjesz i umrzesz dla dobrego imienia naszej rodziny i zrobisz wszystko, żeby nie zostało zbrukane. W gazetach czy gdziekolwiek.

Naldo głęboko wciągnął powietrze. Miała rację.

- Do czego zmierzasz? - spytał ostrożnie.

- Po śmierci taty wszyscy, którym zapłacił za milczenie, odetchnęli z ulgą. Co będzie, jeśli się zrobią gadatliwi? Jeśli się wyda, co się stało mamie? -

Pochyliła się do przodu. - I dlaczego? Znowu się zrobi głośno o rodzinie, ale nie tak, jak ty byś chciał.

Izabela wstała. Stała za Naldem.

- Co robisz? - spytał.

- Jesteś strasznie spięty, kochanie. - Położyła mu dłonie na ramionach. - Biedny Naldo. Nawet tak potężne ramiona mogą nie wytrzymać ciężaru odpowiedzialności, jaka na ciebie spadła. Nie zazdroszczę ci. Naprawdę.

Masowała go z prawdziwą wprawą.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

- Nie zawsze żyłam sama.

- Nie? To dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż? Masz już prawie czterdziestkę.

- Trzydzieści trzy - prychnęła.

- Tak, w porządku. - Uśmiechnął się. - Skoro tak mówisz. Ale poważnie, masz kogoś?

- Nie. Teraz nie - powiedziała smutno. Zaskoczyło go to. - Myślę, że nigdy się nie odważę na małżeństwo. Nie po tym, co spotkało mamę. Złudzenia o miłości i małżeństwie straciłam bardzo wcześnie.

- Nie wiedziałem, że tak to odebrałaś.

Izabela przeżyła śmierć mamy nawet bardziej niż on. Zniknęła wtedy z domu na kilka dni. Była wierną kopią matki. I miała w niej wielką przyjaźniółkę. To mama wspierała jej marzenia o śpiewaniu na scenie. Nawet wbrew ojcu.

Z kariery śpiewaczki nic nie wyszło. Izabela kierowała jednym czy dwoma małymi teatrami operowymi. Nie wyszła za mąż. Musiała być bardzo samotna.

- Co masz zamiar zrobić ze swoim życiem, Izzy? - spytał, pełen współczucia.

- Już ci mówiłam. Szukam dla siebie spokojnego miejsca. Kilkaset akrów, na których będę się mogła odgradzić od okrutnego świata.

- Kilkaset akrów w Europie. - Parsknął śmiechem. - Może powinniśmy po prostu najechać Monako?

- Wiem, wiem. Ale gdybyś sprzedał to miejsce i przeniósł rodzinę z powrotem... Spodobałoby ci się tam, Naldo. Ludzie tam wiedzą, jak żyć w starym stylu. Rozumieją wartość tradycji...

- Podoba mi się tutaj.

- Och, jesteś taki uparty. Jak tata.

- I mama. I ty. Izabela roześmiała się.

- Chyba oboje mamy raczej trudne charaktery. Mam wrażenie, że kończy się jakaś epoka, a ty nie?

- Raczej zaczyna nowa. Wiem, co robię. Zarządzam posiadłością już od siedmiu lat.

- Ależ wiem.

Kiedy przestała go masować, miał wrażenie, że mięśnie ma jeszcze bardziej napięte.

- Klejnoty mamy - rzuciła. A jemu zjeżyły się włosy na karku. - Szukałam ich w jej szafie, ale nie ma, choć zawsze tam były.

- Umarła siedem lat temu.

- Wiem, ale tata nigdy ich stamtąd nie zabierał. Są w banku?

- Dlaczego pytasz? Sądzisz, że byłoby ci w nich do twarzy?

- Może w tym czy w tamtym. Na pamiątkę po mamie.

Przechylił głowę.

- A gdybym chciał je zatrzymać dla mojej żony?

Co prawda na razie wcale nie chciał żony, ale kiedyś, pewnego dnia się ożeni i wtedy jego żona przejmie dziedzictwo De Leonów.

Izabela przycisnęła rękę do serca. Głęboko wciągnęła powietrze i zacisnęła powieki.

- Wiesz, Naldo, bardzo mnie boli, że wszystko, co zostawili nasi rodzice, należy do ciebie, a nic do mnie. Uważasz, że to jest w porządku?

- Nie. Ale jest praktyczne. Gdyby dzielić wszystko z pokolenia na pokolenie, niedługo nie zostałyby nic.

Izabela spojrzała mu prosto w twarz. W jej oczach zalśniły łzy.

- Nie bądź sobkiem. Wiesz, że wyglądam dokładnie jak mama. Bardzo chciałabym mieć niektóre rzeczy, żeby pamiętać, jak było... kiedyś...

- Powodzenia. Tata dał wszystko Letty Marcus - powiedział zimno.

- Co? - Łzy obeschły natychmiast.

- Dał jej wszystko. Teraz ma je Anna. Staram się je odkupić.

- *Dieu.* - Patrzyła na brata wielkimi oczami. - Musiał kompletnie stracić rozum. To na pewno nie jest zgodne z prawem. W testamencie nie było na ten temat żadnej wzmianki. Czemu ich po prostu nie zabierzesz?

Próbowałem, pomyślał. Zabębnił palcami po stole.

- Nie sądzę, żeby to było honorowe.

- Do diabła z honorem! Mówimy o rodzinnej spuściźnie.

- Zaufaj mi. Wiem o tym. Zaproponowałem jej pieniądze, ale ona jest tak samo uparta jak De Leonowie.

- Nie chce sprzedać?

- Sprzeda. Dopilnuję tego.

Było już późne popołudnie. Pakowanie nie szło Annie najlepiej. Chociaż miała w domu budzik elektryczny, nie mogła przecież wyrzucić starego, z malowanym cyferblatem, czyż nie? Dlatego wciąż stał na nocnej szafce. Podobnie rzecz się miała z wieloma porcelanowymi figurkami, makatkami, zestawem mydełek w kształcie muszli i mnóstwem innych bibelotów.

- Anno!

Usłyszała dolatujący zza okna niski głos Nalda. Co znowu?

- O co chodzi? - Wychyliła się przez okno.

- Hej! - Uśmiechał się radośnie. Na pewno coś knuł.

- Cześć - odpowiedziała.

- Mogę wejść?

- A mogę ci w tym przeszkodzić?

Wciąż uśmiechnięty zniknął za węglem. Po chwili usłyszała ciężkie kroki na schodach. Jej serce też zaczęło bić mocniej. Ale postanowiła trzymać się dzielnie.

- Jak mogę ci pomóc? - spytała, kiedy stanął w drzwiach.

- Pomyślałem, że zajrzę, jak ci idzie pakowanie. - Rozglądał się po pokoju. Między brwiami pojawiła mu się głęboka bruzda.

- Jak widzisz, nie za dobrze.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie, dziękuję. Obliznął wargi.

- Tak sobie myślałem...

Oho!

Wziął z kominka porcelanowego kotka i oglądał z uwagą.

- Powinienem zawieźć biżuterię do „Breathley Brothers” w St. George. Oni mają olbrzymie doświadczenie w ocenie zabytkowych klejnotów.

- A ja myślałam, że przyszedłeś mi pomóc sprzątać. - Wsparła ręce na biodrach. - Już miałam cię prosić o wyszorowanie podłogi w łazience.

- Celia robi to znacznie lepiej. Mogę ją tu przysłać, jeśli chcesz. Boję się, czy w ogóle zmieściłbym się w tej łazience.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła potężne, opalone ciało Nalda pod prysznicem. I nie mogła tego obrazu odegnąć. Zbliżył się do niej.

- Chcę być wobec ciebie w porządku.

W porządku? Nic tu nie było w porządku. Przede wszystkim zaś to, że Naldo tak ją podniecał.

Obraz w jej duszy wyostrzył się. Zobaczyła krople wody spływające po jego potężnych udach.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Może ja je zawiozę - zasugerowała. Ściągnął brwi.

- Zawieźmy je razem.

- Kiedy?

- Choćby już. - Skrzyżował ramiona.

- Chyba... muszę się przebrać - mruknęła. Spojrzała w dół na swoje piersi pod cienką bawełną.

- Nie wiem po co. Mnie się tak podobasz.

- Nie wiem, czy twoi snobistyczni jubilerzy by się z tobą zgodzili. Będą się krzywić.

- Niech się krzywią do woli. Mnie na pewno nie odmówią.

Nie wątpiła, że miał rację. Stare nazwisko i stare pieniądze gwarantowały wszystko co najlepsze. Naldo prawdopodobnie nigdy w życiu nie spotkał się z odmową.

- Mimo to przebioreę się.

- Popatrzę. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma mowy! - A przecież na samą myśl poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach.

- Zaczekam na dole.

Naldo wyszedł, a ona czuła się jak nastolatka przed pierwszą randką. Była podniecona i spocona. A przed nią jeszcze co najmniej pół godziny drogi do St. George w jego ciasnym samochodzie!

Czuła, że przydałby jej się pas cnoty. A do tego sukienka z szafy mamy. Wybrała długą, w duże kwiaty, szczelnie pozapinaną. Tylko mama mogła nosić coś takiego. Naldo będzie w szoku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co ty masz na sobie? - Naldo patrzył na nią wielkimi oczami.

- Nie podoba ci się? - Zakręciła się na pięcie.

- Nie, nie. Tylko wyglądasz w niej jak... Twoja matka.

Niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

Jej mama lubiła jaskrawe kolory i cukierkowe dodatki. Sukienka była na Annę trochę za duża, ale pasek w talii dodał jej uroku.

Mina Nalda sprawiła jej satysfakcję.

- Zrób to jeszcze raz - poprosił.

- Co?

- Zakręć się.

Uśluchała. Powiewna materia zafurkotała cicho.

- Pasuje ci. - Otworzył drzwi samochodu. - Powinnaś się częściej tak ubierać.

Zirytowały ją te uwagi. Bez słowa wsiadła do samochodu i zapięła pas. Na kolanach postawiła skrzynkę.

- Może włożysz coś z tego? - spytał. - Do tej sukienki pasowałyby jakieś kolczyki.

- Nie, dziękuję. Nie chcę się przyzwyczajać.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się leciutko.

Podczas jazdy gawędzili. Głównie o posiadłości i planach Nalda. Zamierzał powiększyć plantację i kupić nowe maszyny. Anna opowiadała trochę o swojej pracy.

Była zauroczona oddaniem Nalda sprawom rodzinnego przedsiębiorstwa, pasją, z jaką opowiadał. Kochał swoją pracę i ludzi, którzy dla niego pracowali.

Jakże pragnęła, by ją ktoś tak pokochał.

Naldo zatrzymał samochód przed eleganckim budynkiem w luksusowej dzielnicy St. George. Na budynku nie było szyldu jubilera. Naldo zatelefonował

z samochodu i kiedy znaleźli się na miejscu, przywitał ich młody, elegancko ubrany człowiek, który zwracał się do Naldo po imieniu.

Czyżby to była intryga? Czy Naldo umówił się z przyjaciółmi, żeby odegrać przed nią komedię? Żeby jej mniej zapłacić?

Pełna obaw szła po krętych, szerokich, kamiennych schodach.

Młodzieniec wprowadził ich do stylowego, pełnego antyków pokoju i zaproponował mrożoną herbatę. Naldo odmówił, ale Anna przyjęła ją z przyjemnością. Ale już po chwili pożałowała.

Może jest zatruta? Albo nafaszerowana narkotykami? Może Naldo chce się jej pozbyć raz na zawsze?

W tym momencie w drzwiach pojawił się szczupły, wysoki starszy pan w brązowym, prążkowanym garniturze.

- Panie De Leon. - Potrząsnął ręką Naldo - Miło znowu pana widzieć.

- To jest Anna Marcus - powiedział Naldo.

- Przyszła pani De Leon? - spytał z uśmiechem starszy pan, ściskając jej dłoń.

- Nie - zawołali unisono Anna i Naldo.

- O! Bardzo przepraszam. W czym mogę państwu pomóc? - spytał, kiedy wszyscy usiedli.

Naldo zerknął na skrzynkę, którą Anna trzymała na kolanach.

- Potrzebna nam wycena pewnych rodzinnych kosztowności. Chodzi o dokładną wartość rynkową.

- Rozumiem. Proszę o biżuterię. - Postukał dłonią w blat biurka.

Anna postawiła skrzynkę na blacie.

- Widziałem już te klejnoty. - Starszy pan zmarszczył brwi. Naldo podszedł i stanął za Anną. - Kilka lat temu starszy pan De Leon przywiózł je do mnie do wyceny.

- Chciał je ubezpieczyć? - spytał Naldo. - Nigdy w to nie wierzył.

- Nie znam powodów, ale zrobiłem szczegółową wycenę. Niech no zajrzą do notatek. - Wyjął z teczki napisany przed laty raport i odczytał go głośno. Z każdym jego słowem Anna coraz szerzej otwierała oczy ze zdumienia.

Najpierw gwałtownie wytknął Naldowi, którego wziął za właściciela klejnotów, że z taką niedbałością przechowywał biżuterię w prostej drewnianej skrzynce. Potem zaczął wyliczać ceny i właściwości poszczególnych okazów. Niektóre miały ponad trzysta lat. W jednym z naszyjników był brylant zwany Gwiazdą Morza, niegdyś własność hinduskiego maharadży. Klejnoty w stylu wiktoriańskim były dziełem uznanego amerykańskiego twórcy. Osiągały na rynku niezwykle wysokie ceny.

Kiedy cały tuzin klejnotów znalazł się w skrzynce, jubiler podsumował wartość zbioru jednym słowem. Bezcenny. Wartość rynkowa mieściła się między dwoma a trzema milionami dolarów. Przy czym górna wartość była właściwie niewiadoma. Zależała tylko od przebiegu ewentualnej licytacji.

Kiedy znaleźli się na schodach przed budynkiem, Anna zwróciła się do Nalda z pytaniem.

- Czemu nie ma o nich ani słowa w testamencie? Skrzynkę niósł Naldo. Ona nie czuła się na siłach.

Uważała, że należały się jemu, bo były klejnotami jego rodziny.

- Prawdopodobnie nie chciał, żeby je zatrzymała - odparł Naldo.

Naldo otworzył samochód.

- Jeśli je dał, ale nie ma na to żadnych dokumentów... - próbowała zrozumieć sytuację.

- Darowizna nie ma mocy prawnej. Od podarku takiej wartości trzeba zapłacić podatek.

- Och. - Wiedziała na pewno, że mama takich podatków nie płaciła.

Klejnoty nie należą do niej. Nie wiedziała, czy powinna się smucić. Przecież właściwie nigdy nie miała do nich prawa.

Naldo wstawił skrzynkę do bagażnika. Przejął ją, a ona nie miała siły protestować.

Nie odzywali się do siebie. Naldo raz po raz zerkał na nią kątem oka. Anna patrzyła prosto przed siebie. Kiedy zjechał na pobocze i gwałtownie zahamował, a potem wpił się w jej usta, tylko westchnęła. Jej umysł chciał się sprzeciwić, lecz zdradzieckie ciało skapitulowało natychmiast.

Poczuła jego wielkie dłonie na swoich piersiach. Na brzuchu...

Jednym płynnym ruchem uniósł jej sukienkę, odsłaniając biodra. Jej uda rozchyliły się posłusznie pod naporem jego rąk. Była gotowa. Na wszystko.

Naldo odpiął jej pas. Uniósł jeszcze wyżej sukienkę i zsunął majteczki. Pochylił się i wpił się ustami w jej łono.

Całuj mnie! Pieść. Wyślij mnie wprost do nieba!

Wtedy przypomniały jej się klejnoty.

I to, że aby je zdobyć, Naldo poszedł z nią do łóżka.

- Przestań!

Nawet jeśli usłyszał, nie pokazał tego po sobie. Nie zaprzestał pieszczot.

- Naldo!

- Co? - spytał zduszonym głosem.

- Przestań natychmiast. Wiem, o co ci chodzi.

- O co mi... - Chwycił wargami jej wyprężoną sutkę.

- Jedźmy już - pisnęła.

- Rozpalę cię. - Wtulił twarz między jej piersi.

- Żeby już nie myślała o klejnotach?

- Dobry pomysł. - Pocałował ją w szyję, aż ciarki przebiegły jej po plecach.

- Przestań natychmiast.

Musiał być coś w jej głosie, bo usłuchał. Spojrzał jej w twarz oczami błyszczącymi z pożądania. Odsunął się.

- Chcę wysiąść - powiedziała.

- Jesteśmy w St. George.

- Znam miasto. W liceum pracowałam tutaj podczas wakacji. Wrócę taksówką.

- Nie bądź śmieszna. Odwiozę cię.

- Wolę taksówkę. Możesz sobie zabrać klejnoty. Chyba i tak są twoje. Ale nie chcę już twoich pocałunków.

- Dlaczego?

Proste pytanie, ale nie umiała znaleźć odpowiedzi. Bo kradniesz mi serce.

- Bo nie ma dla nas przyszłości. I nie chcę znowu być wykorzystana.

Niedawno się rozwiodłam i jestem bardzo wrażliwa...

A ty jesteś Naldo De Leon. Jedyny mężczyzna, którego zawsze pragnęłam, chociaż wiedziałem, że nigdy nie będą mogła mieć.

- Uspokój się. Nie próbuję cię oszukać. Na pewno zapłacę ci godziwie.

Znowu proponował jej pieniądze. Nic, tylko pieniądze.

Nie miał zamiaru dać jej siebie. Nigdy.

- Jeśli masz pięćdziesiąt dolarów - powiedziała drżącym głosem - wezmę na taksówkę.

Popatrzył na nią, jakby zwariowała. Potem wyjął z portfela cztery banknoty pięćdziesięciodolarowe.

- Nigdy cię nie zawiozę dokądkolwiek bez twojej zgody - deklarował.

- Wystarczy jeden - przerwała mu. Twarz paliła ją ze wstydu, że musi go prosić o pieniądze. Wzięła jeden banknot. Pozostałe upadły.

Wysiadła z samochodu i poprawiła sukienkę.

- Dziękuję. - Uniosła w górę banknot. - Oddam jak najszybciej.

Nie usłyszała odpowiedzi. Zagłuszył ją trzask drzwi. Ruszyła przed siebie. Na plecach czuła wzrok Nalda. W dłoni ścisnęła zmięty banknot.

Być może jej mama nie potrafiła się oprzeć urokowi De Leona i zgodziła się zostać jego tajemną niewolnicą, ale ona nie zamierzała popełnić takiego błędu.

Następnego dnia około południa Anna zaprzestała pakowania. Właściwie nie musi się spieszyć. Nic jej nie zmusza do wyjazdu. Oddała kilka porcelanowych figurek do lombardu, więc miała dość pieniędzy, żeby żyć przez kilka dni.

I oddać Naldowi pięćdziesiąt dolarów. Banknot włożyła do koperty i wrzuciła do jego skrzynki pocztowej.

Wyciągnęła się wygodnie na sofie i przeglądała ręcznie pisaną książkę kucharską, którą znalazła w jednej z szuflad w kuchni. Czy to o niej była mowa w testamencie? Ale dlaczego? Po co pojawił się specjalny zapis, który miał pozwolić mamie zatrzymać jej zeszyt z przepisami kuchennymi?

Inna rzecz, że była to książka kucharska piękna i wyjątkowa. Oprawiona w czerwoną skórę. Nie było w niej niechlujnych notatek czy luźno wpiętych karteluszków. Wszystko było wpisane starannym, niemal kaligraficznym pismem, na kremowym papierze. Niektóre przepisy okraszone były ilustracjami wykonanymi kolorowymi tuszami i akwarelami.

Rysunki zaskoczyły Annę. Nie знаła mamy z tej strony. Jak widać, sporo jeszcze o niej nie wiedziała. Przygryzła wargę.

Zza okna usłyszała warkot silnika.

Co u licha?

Podeszła do okna.

Kosiarka do trawy. Typowe. Naldo na pewno kazał ogrodnikowi skosić trawnik, jakby to był jego trawnik. Gniew podniósł ją z krzesła.

Dom i ziemia dookoła należały do niej. Zaczynała się powoli do tego przyzwyczajać. Chwilami myślała nawet, żeby go zatrzymać. Nie miała dokąd jechać.

Wybiegła z domu. Machała rękami i krzyczała, biegnąc do chłopaka na kosiarce.

- Proszę nie kosić tego trawnika!

- Trawa jest już bardzo wysoka - zdziwił się młodzieniec.

- Pan De Leon nie jest już właścicielem tego domu i ziemi wokół niego.

- Żartujesz?

- Nie. Wszystko jest moje. Przedtem mieszkała tu moja mama. A Robert De Leon zostawił jej dom w spadku.

- Letty była twoją matką?

- Tak.

- Aha. - Pokiwał głową. - Była bardzo miła. - Zerknął na nią z ukosa.

Miała wrażenie, że z przyganą.

Czemu właściwie tak jej zależało na tym, żeby pracownik Nalda nie kosił jej trawy?

- W każdym razie będę wdzięczna, jeśli nie będziesz tu więcej kosił.

Chcę, żeby trawa urosła wyżej. Żeby wyglądała bardziej naturalnie. - Niepewnie oblizła wargi.

- Bardziej naturalnie? - Ogrodnik uśmiechnął się.

- Tak. Właśnie tak.

Wydawało się, że walczył ze sobą, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Ty tu rządzisz. Nie chcesz, żebym kosił, to nie będę.

Anna przełknęła ślinę.

- A tak przy okazji, jestem Ricky. - Patrzył na nią spokojnie.

- A ja jestem Anna. - Wyciągnęła rękę, zawstydzona, że zapomniała o zwykłej grzeczności.

- Cześć, Anno. - Mocno ścisnął jej dłoń. W oczach migotały mu ogniki.

Rozbawienie? Pożądanie?

Znowu przełknęła ślinę.

Zza zakrętu wyłonił się wielki, biały mercedes. I kiedy Anna zobaczyła za kierownicą Izabelę, przełknęła ślinę po raz trzeci.

- Muszę lecieć - powiedział Ricky.

I odjechał, zanim Izabela zdjęła ciemne okulary i wysiadła z auta.

Energicznie maszerowała przez trawę w powłóczystym, szyfonowym żakiecie i szerokich spodniach. Wyglądała komicznie.

- Anno. - Uśmiechnęła się. - Muszę cię przeprosić za tamten wieczór. Byłam wtedy roztrzęsiona. To były ciężkie dni... Śmierć taty i w ogóle... Przyjechałam do domu pierwszy raz po wielu latach. Chyba byłam dość niegrzeczna.

Można tak powiedzieć.

Anna zastanawiała się, co ją naprawdę sprowadzało.

- Jestem artystką. - Izabela posłała jej przepaszający uśmiech. - Mam prawo być trochę wybuchowa. Zgoda? - Wyciągnęła rękę.

Anna postanowiła nie okazywać swoich wątpliwości. Uścisnęła delikatną dłoń.

- To były trudne chwile - stwierdziła. - Będzie mi brakowało twojego taty. Był uroczym człowiekiem. I mówiąc szczerze, jestem ci wdzięczna, że powiedział mi o jego związku z moją mamą. Nie zdawałam sobie sprawy. Teraz wiele rzeczy nabrało sensu.

Izabela skinęła głową.

- No i masz ten dom. Posiadasz więcej tej posiadłości niż ja. Czyż to nie zabawne?

Annie zrobiło się jej żal.

- To dziwne, że tobie nic nie zapisał. Tym bardziej że jesteś starsza.

- Ale jestem dziewczyną. De Leonowie to ród bardzo patriarchalny. Tym większym zaskoczeniem była dla wszystkich wiadomość, że tata zapisał ziemię twojej mamie. Musiała mieć na niego naprawdę wielki wpływ.

- Albo miał poczucie winy, że się z nią nie ożenił.

- Tak - powiedziała Izabela w zamyśleniu. - Ale przecież dał jej klejnoty. I właśnie dlatego tu jestem. Chciałabym kupić to czy tamto. Z czysto sentymentalnych powodów.

Anna była zaskoczona. Czyżby Izabela nie wiedziała, że Naldo zabrał biżuterię? Która prawdopodobnie i tak należała do niego?

- Naldo je ma.

- Och, wiem. Ale są twoje. Tata zapłacił podatek od darowizny pięć lat temu.

Naprawdę? Ciekawe, dlaczego Naldo jej o tym nie powiedział.

- To znaczy, że należą do mnie? Zgodnie z prawem?

- Jak najbardziej. Mój kochany braciszek zamierza, rzecz jasna, odkupić je od ciebie, żeby wróciły do majątku rodzinnego. Ale ten pierścionek z lwem tak bardzo mi się podoba. I ten stary brylant w zabawnej oprawie.

- Chociaż formalnie należą do mnie, nie czuję się ich właścicielką na tyle, żeby je sprzedawać. Przecież będziesz mogła odkupić je od Nalda, kiedy mu je sprzedam.

Izabela prychnęła gniewnie.

- Z moim bratem sprawa może być bardzo trudna. Będzie się upierał, że nic nie powinno opuścić rodzinnego domu. Po śmierci taty dostałam trochę gotówki, więc mogę ci zapłacić. Są to w końcu także moje klejnoty rodzinne.

Anna szczerze jej współczuła.

- Ja ich naprawdę nie mam. Lepiej porozmawiaj z Naldem.

Izabela gryzła przez chwilę oprawkę okularów przeciwsłonecznych.

- Możemy wejść na chwilę do środka? - spytała.

- Hm, oczywiście. - Przeszły przez kuchnię do małego saloniku.

Izabela popatrzyła na starą sofę, jakby ją mogła ugryźć, i usiadła.

- Uroczy domek, prawda? - Rozejrzała się dokoła z delikatnym grymasem na twarzy.

- Owszem. - Widząc jej reakcję, Anna jeszcze bardziej polubiła to wnętrze.

- Wiem, że nie zamierzasz tu zostać. Masz swoje interesy, swoje życie. - Popatrzyła Annie prosto w oczy. - Ja też to miałam, ale moja kariera... - Łzy

zaszklily jej się pod powiekami. - To jest bardzo trudny biznes, a ja nie jestem coraz młodsza. Słyszałaś, jak mówiłam Naldowi, że wszystko, czego chcę, to znaleźć miejsce, które będę mogła nazywać domem.

Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze.

- To mógłby być mój dom - powiedziała.

- Słucham? - Anna zamrugwała gwałtownie.

- Sprzedasz mi dom i ziemię? - Izabela wpatrywała się w nią w skupieniu.

- To byłby taki siostrzany gest.

Anna myślała gorączkowo. Siostrzany gest?

Z Izabelą De Leon? Co ona knuje? Próbuje wydrzeć Naldowi choćby kawałek posiadłości?

- Nie mogę - powiedziała. - Naldo pierwszy zaproponował mi kupno. A wiem, ile to dla niego znaczy.

Wargi Izabeli zaczęły drżeć.

- Czuję się taka... samotna. Odrzucona. Bezdomna.

Wierz mi, znam to uczucie, pomyślała Anna.

- Ciągle nie jestem pewna, czy mam zamiar sprzedać dom. Tak ciężko mi idzie pakowanie, bo jestem bardzo przywiązana do tego miejsca.

- Chcesz zatrzymać dom? Chcesz... mieszkać tutaj?

- Tak. - Kiedy to powiedziała, uświadomiła sobie, jak bardzo było to możliwe. Tylko bliskie sąsiedztwo Nalda mogłoby sprawiać kłopot.

- Nie możesz go zatrzymać. - Izabela podniosła głos. - Mój brat nawet nie zechce o tym słyszeć. Będzie walczył w sądzie o zachowanie spójności posiadłości. Nigdy się nie pogodzi z istnieniem dziury w jego ukochanym królestwie. Możesz sądzić, że uda ci się zatrzymać dom, ale wcześniej czy później Naldo postawi na swoim i skończysz z niczym.

Ostatnie zdanie wydusiła przez zaciśnięte zęby.

Anna zadrżała.

Izabela się roześmiała.

- Zdradzę ci sekret - wysyczała. - To Naldo mnie tu przysłał. Myśli, że cię namawiam, żebyś mu sprzedała ten dom. Powiedziałam mu nawet, że poproszę, żebyś mnie go sprzedała. Uznał to za bardzo zabawne. - Pochyliła się do przodu. - Mężczyźni nie traktują nas poważnie. Traktują nas jak urocze zabawki do zaspokajania ich zachcianek. Kiedy im się znudzimy, wyrzucają nas. Muszę się bronić i ty też powinnaś chronić siebie. - Przechyliła głowę na bok. - Wiem, że z tobą spał.

Anna zacisnęła zęby. Naldo jej powiedział?

- Nie schlebiaj sobie, że coś dla niego znaczysz. Naldo zdobędzie tę ziemię, tak czy inaczej. Strzeż się!

Wstała. Nasunęła okulary na oczy i stukając obcasami, wyszła.

Anna siedziała jak zamurowana. Izabela posiadała ziarno niepewności w jej duszy.

Czy możliwe, że Naldo przysłał siostrę? Ani na chwilę nie uwierzyła w sentymentalne intencje Izabeli. Nie potrzebowała takiej chatki. Stać ją było na kupno olbrzymiej posiadłości.

Nie miała jednak wątpliwości, że Naldo stał za wszystkim. Przekonała się, że gotów był całować i pójść do łóżka, byle osiągnąć swój cel. Ale co dalej?

Postanowiła wyraźnie dać mu do zrozumienia, co sądzi o jego planie.

Podeszła do telefonu. Różowa karteczka w kształcie serca z jego numerem wciąż leżała na stoliku.

- Cześć, Pilar, tu Anna. Zastałam Nalda? - spytała tak słodko, jak tylko potrafiła.

- Pojechał do południowego sadu, za wieżą ciśnię, jakieś trzy godziny temu. Sadzą tam nowe drzewa.

- Dziękuję. Sięgnęła po kluczyki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na końcu szpaleru nowo posadzonych drzew Anna dostrzegła wózek golfowy, którym zwykle Naldo jeździł po posiadłości. Musiał być gdzieś w pobliżu.

Weszła między pachnące drzewa. Po kilku minutach zobaczyła grupkę mężczyzn. Sprawdzali położenie wykopów pod nowe drzewa.

Zmrużyła oczy przed oślepiającym słońcem. W końcu go dostrzegła. Klęczał w piasku ze skupieniem na twarzy. Starannie uklepywał ziemię wokół młodej sadzonki. Jego delikatność niemal ją rozczuliła.

To prawda. Traktował drzewa jak członków rodziny.

- Naldo.

- Anna. - Przysiadł na piętach. - Przyjechałaś przeprosić.

- Przeprosić? - Natychmiast wzrosło jej ciśnienie. - Żartujesz sobie ze mnie?

Spojrzał gdzieś za jej plecy, skąd słychać było chrzęst łopat.

- Przejdźmy się - zaproponował. Otrzeptał dłonie o nogawki.

Przez moment pomyślała, że stanowią naprawdę piękną parę. Ale to tylko złudzenie. Byli całkowitymi przeciwieństwami. Jak czerń i biel. Łączył ich tylko interes. Kawalek piaszczystej ziemi i mały domek.

- Nikt nam tu nie przeszkodzi - stwierdził, kiedy odeszli kawalek.

- Dobrze wiesz, dlaczego tu jestem - oznajmiła. - Uważam, że przysłanie do mnie siostry, żeby udawała, że chce kupić mój dom, było żalosne. Nie posądzałam cię o to, Naldo. Wysłałaś kobietę, żeby za ciebie walczyła. Chyba bardzo się zmieniliśmy.

Między brwiami Nalda pojawiła się głęboka zmarszczka.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- O Izabeli. Odwiedziła mnie. Najbardziej się ubawiłam, kiedy wspomniała o naszych siostrzanych uczuciach.

- Siostrzanych uczuciach? - Naldo wyglądał, jakby zobaczył szaleńca.
- Ostrzegła mnie przed tobą. Powiedziała, że nie zawahasz się przed niczym, byle tylko zdobyć tę ziemię. Kazała mi się mieć na baczności.

Naldo wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Oj, zna mnie dobrze. Przestraszyła cię? - Znowu pojawiły się dołeczki na jego policzkach.

- Nie boję się nikogo i niczego.

- Wierzę ci. To jedna z tych cech, które bardzo w tobie lubię.

Anna zaczęła kipieć ze złości.

- Izabela poinformowała mnie także, że twój ojciec podarował mojej mamie klejnoty legalnie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Tak. Zapłacił podatek od darowizny. Należały do niej, a teraz są twoje. Przepraszam, że sam ci tego nie powiedziałem, ale dowiedziałem się o tym dziś rano, a od tamtej pory cały czas byłem w sadzie.

- W takim razie - odchrząknęła - mam propozycję. Sprzedam ci klejnoty, a zatrzymam dom i ziemię.

Przecież to wcale nie oznaczało, że będzie musiała mieszkać w tym domu. Ale zawsze będzie miała dokąd przyjechać i będzie miała pieniądze na utrzymanie nieruchomości.

Wstrzymała oddech.

- Nie.

- Dlaczego?

- Wszystko albo nic. Muszę odzyskać tę ziemię.

- To było zgrabne posunięcie: przysłać do mnie Izabelę, żeby udawała, że sama chce kupić mój dom.

Naldo nachmurzył się.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Jeśli się starała kupić ten dom, robiła to na własną rękę.

- Powiedziała, że chciałyby tu zamieszkać.

- To ci nowina. - Skrzywił się w kwaśnym uśmiechu. - A mnie się wydaje, że ona ma zupełnie inne plany. Sama słyszałaś, że najchętniej spieniężyłaby całą posiadłość. Na pewno sprzedałaby ten kawałek ziemi jakiemuś deweloperowi.

- To niemożliwe. Nie ma tam drogi dojazdowej.

- Wiem. - Mrugnął porozumiewawczo. - Ale jestem zdruzgotany, że to sprawdziłaś. Wygląda na to, że wszystkie kobiety dokoła mnie próbują sprzedać jakiś kawałek mojego rajy. Nikomu nie można zaufać.

- Ja wiem, że nie mogę zaufać tobie. Nie cofniesz się przed niczym, by zdobyć to, czego chcesz.

- Mówisz, jakbyś mnie dobrze znała. - Jego oczy świeciły z rozbawienia. - A skoro już o tym mowa, co powiesz na trzy i pół miliona dolarów za ziemię, dom, biżuterię i książkę kucharską?

Anna aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Możesz dostać te pieniądze jutro. W gotówce albo przelewem na wskazane konto - oświadczył bardzo poważnie. - Jestem pewien, że oboje chcielibyśmy zakończyć sprawę.

- Tak - szepnęła słabo. Trzy i pół miliona dolarów.

Szli powoli wśród szpaleru drzew. Na samą myśl o takiej kwocie na koncie traciła oddech. W nozdrza uderzył ją zapach kwiatów.

- Będzie dobry urodzaj w tym roku - mruknęła.

- To prawda. - Zerknął na nią, zdziwiony.

Trzy i pół miliona dolarów.

Mogłaby być zupełnie niezależna. Mogłaby robić, na co tylko miałyby ochotę. Bierz pieniądze i nigdy tu nie wracaj. Wahala się.

- Dasz mi pieniądze i będę mogła... odjechać? - Niespodziewanie poczuła ucisk w sercu.

- Tak.

Naldo naprawdę chciał ją oderwać od korzeni. Wyrzucić jak zepsuty owoc.

Oddychała z trudem. Może to z powodu ciężkiego zapachu pomarańczy? - Naldo stał bez ruchu. Jak posąg. Przełknął ślinę.

- Cztery miliony - rzucił.

Było coś dziwnego w jego głosie. W jego spojrzeniu. Podeszedł bliżej i wziął ją za rękę. Ciepło jego dłoni odebrało jej zdolność oddychania.

Pomieszało myśli. Stał tak blisko...

Próbowała znaleźć jakieś słowa. Ale jej serce łomotało tak gwałtownie...

Naldo wziął ją pod brodę. W skupieniu patrzył jej prosto w twarz.

Poruszyła wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Wzrok Nalda zatrzymał się na jej ustach. Opuścił powieki, wziął głęboki oddech i... pocałował ją.

Wplotła mu palce we włosy. Ochoczo odwzajemniła pocałunek.

Wciągnęła głęboko w nozdrza odurzającą mieszaninę zapachów: Nalda i drzew pomarańczowych.

Całował ją do upojenia. A ona głaskała go po plecach. Po muskularnych ramionach. Potem wyciągnęła mu koszulę ze spodni. Sięgnęła do paska.

Natychmiast odczuła reakcję jego organizmu. Jęknął głucho. Zamknął w dłoniach jej piersi. Przywarła do niego całym ciałem. Był taki potężny, taki twardy. A przy tym taki delikatny.

Gwałtownymi ruchami rozpięła mu koszulę. Naldo rozsunał zamek jej sukienki. Jednym płynnym ruchem zsunął ją wraz z majteczkami, aż do ziemi.

Ona tymczasem szarpała się z guzikiem u jego spodni. W końcu sam je rozpiął. Ściągnął je z siebie i chwycił ją w ramiona.

Powoli położył ją na ziemi, wśród płatków kwiatów pomarańczowych. Sam położył się obok niej. Jego ciemne oczy płonęły pożądaniem. Wodził palcami po krągłościach jej ciała. Wsunął dłoń między jej uda. Kiedy jej

dotknął, jej biodra same uniosły się ku pieszczocie, a sutki napreżyły z pożądania. Skóra ją paliła. Była z nim. Z Naldem De Leonem.

Co ja robię?

Zamiast wziąć pieniądze i czmychnąć jak najprędzej, rzuciła się na niego i zdarła z niego ubranie.

Naprawdę nie powinna...

Kolejne dotknięcie było jak uderzenie pioruna. Rzuciła się gwałtownie. Wydała dziwny, zwierzęcy okrzyk. Naldo uciszył ją namiętym pocałunkiem.

Kiedy wszedł w nią, przyjęła go zachłannie. Drżała. Wierciła się. Naldo chwycił ją za głowę i całował jak szalony. Z każdą chwilą, z każdym ruchem zbliżała się do raju. Szeptala jego imię. I nagle usłyszała w głowie jedną myśl.

Kocham tego człowieka.

Potężny, namiętny, niesamowicie lojalny wobec swojej dumnej rodziny i ukochanej posiadłości, Naldo był człowiekiem wyjątkowym.

To była ostatnia myśl.

Porwała ją ekstaza.

Jak na szalonej kolejce górskiej dotarła do szczytu, krzycząc przeraźliwie. Naldo trzymał ją w potężnym uścisku, dopóki nie opadła z sił.

Długi czas minął, nim zdołała otworzyć oczy. Napotkała spojrzenie czarnych oczu Nalda.

Kocham cię.

Odegnęła tę myśl. Nie było sensu się oszukiwać.

Zrobiło jej się niewygodnie. Żwir nieprzyjemnie wbijał jej się w plecy.

Co się właściwie stało?

- Bardzo dziwnie na mnie działasz - powiedział Naldo.

- Tak. - Skrzywiła się. - Zauważyłam.

- I to dotyczy obu stron. - Uśmiechnął się leciutko.

- Nie powiedziałabym... - Naldo połaskotał ją i zaczęła chichotać.

- Krzyczałam? - Pomyślała o pracujących niedaleko robotnikach i aż zasłoniła usta dłonią.

- Tak. Zdecydowanie tak.

- A jeśli ktoś usłyszał?

- Drzewa doskonale tłumią dźwięki. Słyszysz, żeby ktoś biegł na pomoc?

- Nie.

- Sama widzisz, że jesteś zdana na moją łaskę. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Założę się, że nawet gdyby usłyszeli, twoi wierni pracownicy zaczęliby gwizdać i udawaliby, że nic nie słyszą.

- Dobrze jest być szefem. - Mrugnął porozumiewawczo. - Ale to już wiesz.

Przełknęła ślinę.

On nadal nie wiedział, że była bez grosza. Była bankrutem.

- Nie rozumiem, jak możesz prowadzić interesy, jeśli nie lubisz pieniędzy.

- Lubię pieniądze.

- Prawie mnie nabrałaś. - Wciąż uśmiechał się wesoło. - Staram się dać ci trochę, a ty nie chcesz ich wziąć. Chyba masz ich za dużo.

Chciałabym.

- Nie jest tak, że nie chcę pieniędzy... - Jej głos drżał lekko.

- Ale jesteś zbyt dumna, by je przyjąć?

Zawahała się. Czy to była duma? Może trochę, Ale było coś więcej.

Ckliwy sentyment do miejsca, które kiedyś nazywała domem.

- Muszę tylko być pewna, że dostanę, co mi się należy. - To pierwsze przyszło jej na myśl. - Jak sam powiedziałeś, jestem kobietą interesu.

- Jeśli swoje interesy prowadzisz choć trochę tak, jak... - Wbił w nią spojrzenie ciemnych oczu. - Jak grasz w tenisa, to stając z tobą do gry, jestem w bardzo niebezpiecznym położeniu.

- Chcę tylko, żeby wszystko było uczciwie.

- Sądzę, że problemem jest książka kucharska.

- Czy to ta w skórzanej oprawie, którą znalazłam w kuchni mamy? -
Starannie wykaligrafowana, z uroczymi ilustracjami.

- Tak. - Ściągnął brwi. - To ta. Mój ojciec ją zilustrował. - Przebiegł
wzrokiem po koronach drzew. - Zawsze lubił rysować.

O! A więc to nie mama. Było to ich wspólne dzieło. Dzieło miłości.

- Nie umiem go sobie wyobrazić rysującego. Zawsze widziałam go w
akcji. W ruchu. - Trudno było pomyśleć, że ktoś tak dynamiczny jak Robert De
Leon mógł znaleźć czas, żeby wykonać tak subtelne ilustracje.

- Taaak. Także malował. Zwykle wczesnym rankiem, zanim dzień się
rozbudził. Uwielbiał iść do sadu ze sztalugą i malować drzewa.

Płatek pomarańczowy spadł z drzewa prosto na brzuch Anny.

- Nie ma chyba piękniejszego widoku na świecie - powiedziała cicho,
patrząc na obsypane białymi kwiatami gałęzie.

- Nie ma - przytaknął. - Wiele podróżowałem, dużo widziałem. Tutaj jest
jak w niebie. Tata wiedział, że żył w raju, i starał się korzystać z każdej chwili.

Anna przygryzała wargę. Prawdziwe życie wypadło blado w porównaniu
z tym rajem.

- Co się stało? - Naldo odgarnął jej włosy z policzka.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi tego miejsca.

- Sączą się w twoich żyłach, prawda? - Poglaskał ją po policzku. - Owija
cię i nie chce ci pozwolić odejść. Myślę, że właśnie dlatego De Leonowie są
tutaj tak długo.

Dlaczego ja nie chcę stąd odejść? Anna poderwała się przerażona. Musi
stąd wyjechać. Nie ma wyboru. To już nie jest jej dom.

- Chyba dlatego tak cierpię na samą myśl, że można by wyciąć choćby
piędź ziemi - wytłumaczył Naldo. Te proste słowa sprawiły jej prawdziwy ból.

Usiadła i sięgnęła po sukienkę. Myśl o interesach, nakazała sobie.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego książka kucharska znalazła się w testamencie. Dlatego, że zrobili ją wspólnie?

- Sama książka nie jest tak ważna jak zapisane w niej receptury. Myślę, że ojciec chciał w ten sposób podkreślić, że to twoja mama była ich autorką. - Naldo wsparł się na łokciu. - Stanowią podstawę naszej działalności handlowej.

Zastygła bez ruchu.

- Marynaty i przetwory, które sprzedajesz w supermarketach?

- Tak. - Produkty, które w pierwszym roku sprzedaży przyniosły trzy miliony czystego zysku? - Nie mogła pozbierać myśli. - Twoja mama stworzyła te receptury jako pracownica przedsiębiorstwa. - Powiedział to zimnym, profesjonalnym tonem.

- Oczywiście. - Ból i gniew targnęły jej sercem. - Jej pomysły dały firmie miliony, ale ona sama dostawała pensję kucharki?

- Została wynagrodzona w inny sposób.

- Klejnotami. - Anna miała wrażenie, że jej krew zmieniła się w lód. - Twój ojciec ją kupił. Kupił jej milczenie.

Naldo gwałtownie wypuścił powietrze. Usiadł.

- Co ci się stało, Anno? Czemu jesteś taka niemila i nieufna? Mój ojciec kochał twoją matkę. Stanowili zespół... Chociaż trudno mi to przyznać. Prawie wszystko robili razem. Dał jej kawałek posiadłości! Nie widzisz, jak jest to niezwykle? Nic takiego się nie zdarzyło w całej historii rodu De Leonów.

- Posiadłość. Tylko to cię interesuje, prawda? Chronić posiadłość. Rozbudowywać posiadłość. Zwiększać zyski. Myśl, że choćby kawałek tej ziemi mógłby się znaleźć poza twoją kontrolą, jest jak cierń. Czy Ricky doniósł ci, że nie pozwoliłam mu skosić trawy na mojej ziemi?

Naldo wysoko uniósł brwi.

- Tak, powiedział mi. Czemu to zrobiłaś? Hodujesz siano? A może piekło?

Zwariowała. Nie miał co do tego cienia wątpliwości. Klęczała przed nim w piasku z sukienką zmiętą na kolanach. Światło słoneczne przesiane przez gałęzie drzew malowało jej urzekające ciało.

Jej oczy pałały gniewem. Anna Marcus była pełna namiętności. W każdy możliwy sposób.

Uśmiechnął się leciutko. Zależało mu na tym skrawku ziemi. Ale nie tak, żeby się miał rzucać w ogień.

- Chciałam, żebyśmy dokładnie wiedzieli, na czym stoimy. - Wstała i otrzepała sukienkę. - Myślę, że powinieneś mi oddać klejnoty.

Patrzył na jej wspaniałe, długie nogi i czuł budzące się pożądanie.

- Pomóc ci zapiąć zamek? - Nawet nie starał się kryć podniecenia.

- Poradzę sobie.

- Jak zawsze. Nie potrzebujesz nikogo, prawda? Musiało ci być źle w małżeństwie.

Zamarła. Twarz jej stężała.

- Nic nie wiesz o moim małżeństwie.

- To prawda. A powinienem?

Spytał, chociaż wcale nie chciał słyszeć o Annie i jakimś innym mężczyźnie.

- Zostawił mnie - rzuciła. - Chyba masz rację. Odszedł do kogoś zupełnie innego niż ja. Powiedział, że chciał kogoś bardziej cichego i opiekuńczego. Bardziej uległego.

- Przepraszam. - Ból w jej spojrzeniu szarpnął go za serce. - On nie był mężczyzną dla ciebie, bo w tobie nie ma ani trochę uległości.

- Myślę, że miałaś rację. Małżeństwo jest nie dla mnie.

- Hej! - Rozejrzał się za spodniami. - Nie pozwól, żeby złe doświadczenia zatrwały ci przyszłość. Potrzebujesz kogoś, kto zaakceptuje cię taką, jaka jesteś.

- Nie sądzę, żeby się znalazł ktoś aż tak szalony. - Starła się, by zabrzmiało to wesoło. Ale nie zdołała go oszukać.

- Jesteś kobietą absolutnie wyjątkową.

- Tak? Dlatego jesteś gotów zapłacić miliony, żeby się mnie pozbyć?

Nie mógł się powstrzymać. Wybuchnął śmiechem. Trudno było odmówić jej racji.

Ale przecież ofiarowywał jej znacznie więcej, niż warte były klejnoty, książka kucharska i ziemia razem wzięte. Co musiałyby się stać, żeby to zauważyła?

Może wystarczyłoby trzymać ręce z dala od niej przez cały dzień?

Dlaczego kochał się z córką kochanki swojego ojca? Przecież powinien się od niej trzymać jak najdalej.

Pokręcił głową. Anna Marcus miała na niego zdecydowanie zły wpływ.

Kiedy się okazało, że klejnoty prawnie się jej należały, poczuł prawdziwą ulgę. Gdyby było inaczej, miałby wrażenie, że ją oszukał. Podobnie było z książką kucharską. Początkowo nie miał zamiaru mówić jej prawdy.

Ale nie potrafił.

Z nieznanego powodu czuł potrzebę ochrony jej interesów. Nawet na koszt rodziny. Tak było honorowo. Tak wychował go ojciec.

Wsunęła stopy w sandały. Ta zwykła czynność rozpałała mu krew w żyłach. Niedobrze. Potrzebował trzeźwego umysłu. Musi dobrze wszystko rozegrać.

Najgorsze zaś było to, że Anna go rozpałała jak żadna inna kobieta. A przy tym była pierwszą, która patrzyła nań nie jak na bogaty łup, ale jak na mężczyznę.

A on, wbrew poczuciu obowiązku wobec posiadłości, nie mógł nie patrzeć na nią jak na kobietę. Wytrawną bizneswoman, która nie dawała się oszukiwać. Lojalną i czułą kobietę walczącą o dobre imię matki. Kobietę namiętną i wrażliwą, budzącą w nim uczucia niespotykane silne.

Ponadto był przekonany, że ona też czuła się mocno związana z ziemią i tymi drzewami.

Wzruszyła go ta myśl, lecz szybko ją przegnał. Tym razem był to czas zimnych kalkulacji i działań.

- Kiedy wrócę, każę Tomowi dostarczyć ci klejnoty. Piłka jest teraz po twojej stronie. - Położył się na piasku z rękami pod głową. Starał się udawać obojętność.

- Dobrze. - Jedno jej spojrzenie sprawiło, że znów jego serce zabiło żywiej.

Kiedy się oddalała między rzędami drzew, odetchnął głęboko. Nie czuł ulgi. Ale przecież musiał tak postępować. Dla dobra rodziny. I posiadłości. Musiał zakopać głęboko rodzinne sekrety.

Tylko dlaczego to musiało być takie trudne?

Jeśli się prędko nie pozbędzie Anny, pojawią się plotki. A wtedy nie da się ich uciszyć. Musiał zrobić wszystko, żeby jak najszybciej wyjechała. Natychmiast.

Ale w myślach wciąż wodził rękami po jej aksamitnej skórze. I całował ją. Aż do utraty tchu.

Przetarł twarz dłonią i obsypał się piaskiem. Miał piasek wszędzie i leżał nagi wśród drzew pomarańczowych.

Uspokój się. To tylko nieważna przygoda. Postępujesz uczciwie. Ona dostanie pieniądze i wyjedzie.

Lecz ta myśl zaboląa go jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z głębokiego snu wyrwał Annę odgłos kroków. Właściwie był to raczej głośny łomot. Usiadła. Serce podeszło jej do gardła.

- Kto tam?

Kiedy drzwi się z trzaskiem otworzyły, skuliła się. Naldo. Oczy płonęły mu z wściekłości. W garści ścisnął lokalną gazetę.

- Co ty sobie wyobrażasz? - rzucił.

- Wyjdź z mojego pokoju! - Podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Nie wyjdę, dopóki się nie wytłumaczysz z tego artykułu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Doskonale wiesz, o czym mówię. - Rzucił na łóżko pomiętą gazetę.

Przetarła zaspane oczy. Dopiero po chwili przeczytała nagłówek krótkiego tekstu na ósmej stronie. *Spadkobiercy De Leona w tarapatkach.*

Podniosła gazetę do oczu.

Intrygująca rysa pojawiła się na długiej i znakomitej historii rodu De Leonów, gdy Robert De Leon zapisał w testamencie kawałek posiadłości pracownicy. Wywołało to olbrzymie zdumienie w całym hrabstwie, bowiem od szesnastego wieku De Leonowie nie wypuścili z rąk ani skrawka swojej ziemi. Dobrze poinformowane źródło potwierdziło, że Robert De Leon miał romans z tą pracownicą, czterdziestoosmioletnią Leticją Marcus, o czym zresztą od dawna szeptano w okolicy. Leticja Marcus pracowała w posiadłości piętnaście lat jako kucharka, dopóki nie zginęła w wypadku samochodowym.

Anna zagryzła wargi ze smutku.

Sytuacja może się skomplikować jeszcze bardziej, gdyż niedawno De Leonowie rozpoczęli intensywną działalność na rynku przetwórstwa. Powiada się, że to pani Marcus kierowała z ukrycia całą produkcją zdobywających wiele nagród w kraju wyrobów. Od kilku dni w mieście przebywa córka pani Marcus i

nic nie wskazuje na to, żeby miała zamiar zrezygnować ze swych praw. Czy wielkie imperium De Leonów znalazło się na krawędzi?

Czytała z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Naldo niemal krzyczał.

- Co? - szepnęła. - Nie mam z tym nic wspólnego.

- To musiałaś być ty. Tylko ty możesz być tym „dobrze poinformowanym źródłem”.

Anna zamrugwała gwałtownie. Naldo De Leon wtargnął do jej sypialni. Oskarżał ją o rozpowszechnianie krzywdzących plotek. Z góry założył, że to była ona. Wściekłość aż w niej kipiała. Czy arogancja tego człowieka nie ma granic?

- Powiedziałaś, że chętnie opowiedziałabyś dziennikarzom, jakim naprawdę człowiekiem był mój ojciec. - Patrzył na nią groźnie.

Wyprostowała się.

- A jeśli nawet to ja przekazałam te informacje, to co?

- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

- Oczywiście. Ludzie poznają prawdę. Bo to przecież jest prawda.

- To są prywatne informacje na temat osobistego życia mojego ojca.

Nazwisko De Leonów pojawia się w gazetach tylko z okazji narodzin, ślubów i śmierci, i to nie na plotkarskich stronach.

Wyprostował się dumnie.

Anna zanosła się śmiechem. Jego arogancja rzeczywiście nie miała granic.

- Och, przestań. Przecież musiały być artykuły o nowej linii produktów.

- Tak. Oczywiście. Ale zamieszczała je agencja informacyjna z Nowego Jorku. Oczywiście nazwisko twojej matki nigdy nie zostało wymienione.

- Oczywiście - rzuciła sarkastycznie. - Na pewno teraz też do nich zadzwonisz, żeby się zajęli sprawą? - Uśmiechnęła się słodko.

Naldo oddychał szybko. Z trudem starał się nad sobą panować.

- A więc się przyznajesz?

- Do niczego się nie przyznaję.

Widziała, jak mięśnie mu się napięły. Czekala tylko, kiedy z jego czarnej czupryny zacnie się wydobywać para.

- Jesteś nie do wytrzymania - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Ja? To ty się włamałeś do mojego domu. Wtargnąłeś do mojej sypialni.

Jestem w piżamie, nie widzisz? Jeśli ktoś jest na krawędzi, to właśnie ja.

Mógłbyś się chociaż zdobyć na odrobinę grzeczności i pozwolić mi się przebrać.

Naldo zrobił wielkie oczy.

- Masz rację - powiedział po chwili. - Powinienem był zapukać. Ale oczekuję wyczerpujących wyjaśnień. Rodzina De Leonów nie toleruje skandali, możesz być tego pewna.

Jego hipnotyczne spojrzenie unieruchomiło ją. A w głowie miała mętlik.

Po chwili odwrócił się i wyszedł.

Z bijącym sercem opadła na poduszkę.

Oczekuje wyczerpujących wyjaśnień? Nie miała żadnego. Ale zamierzała znaleźć. Usłyszała warkot odjeżdżającego auta i uspokoiła się nieco.

Przynajmniej nie czekał na wyjaśnienia u podnóża schodów.

Na łóżku leżała gazeta „The Sunshine Post”. Pamiętała ten tytuł. Mama ją czytywała. Nie mogła pozwolić, żeby Naldo obwiniał ją za to, co się stało.

Postanowiła najpierw odszukać autora.

- Nie ujawniam moich źródeł informacji - zastrzegł pryszczaty młodzieniec ubrany jak deskorolkarz.

Anna spotkała się z Thomasem Craigiem, reporterem „The Sunshine Post”, w kawiarni przy Main Street. Usiedli przy stoliku na zewnątrz, ze szklankami mrożonej herbaty.

- Skąd pan wie, że powiedziała panu prawdę?

- Sprawdziłem to.

- A! Zatem to była kobieta?

Przechylił głowę na bok. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Jestem pewien, że będziemy mogli się wymienić jakimiś informacjami.

Jest pani córką Leticii Marcus?

- Tak. Wszyscy mówią na nią Letty. Mówili. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić, że...

- Jak długo była związana z Robertem De Leonem? - W jego twarzy widać było niezaspokojoną ciekawość.

- Nie wiem nawet, czy w ogóle coś ich łączyło. - Jak łatwo przyszło jej to kłamstwo.

- Niech pani przestanie. - Craig wyduł pełne wargi. - Wszyscy w mieście wiedzą, że od dawna mieli romans.

- To było prywatne życie - powiedziała sucho. - Nie sędzę, żeby pozwolili komukolwiek mieszać się do ich spraw.

- A więc potwierdza pani, że mieli jakieś sprawy? - Wypił głośno łyk napoju.

- Niczego takiego nie potwierdzam.

- Niechże pani da spokój. - Prychnął niecierpliwie. - Oboje jesteśmy dorośli. A teraz pani tak samo zaangażowała się z Naldem.

- Słucham? - Szeroko otworzyła oczy. Gorący rumieniec powoli oblał jej policzki. Jeśli nawet były to tylko domysły, teraz już wiedział.

- Chodzi o ziemię. On chce, żeby mu ją pani sprzedała, a pani nie chce.

- Chcę. Nie potrzebuję ziemi.

- To dlaczego jeszcze jej pani nie sprzedała i nie wyjechała stąd?

- Muszę uporządkować rzeczy mamy.

- I może rozpalić stare uczucia? - Patrzył na nią wzrokiem pełnym wstrętnej... złościwości.

- Nic mnie nie łączy z Naldem. - Po tak bezczelnym kłamstwie zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Dlaczego pani nie wierzę? Wzięła głęboki wdech.

- Dorastałam tutaj. Naldo uczył się w szkołach z internatem, więc widywaliśmy się tylko podczas wakacji. Oboje uwielbialiśmy sport i wiele czasu spędzaliśmy razem. Choćby na korcie tenisowym. I to wszystko. Właściwie nie byliśmy nawet przyjaciółmi. Kiedy wróciłam, nawet mnie nie poznał. - Przynajmniej to było prawdą.

- Teraz oboje jesteście dorośli, wolni...

- Nie jestem wolna. Jestem rozwiedziona - parsknęła gniewnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Kiedy sprawdzałem ostatnio, rozwiedziona oznaczało wolna.

- Jak już pan zauważył, Naldo i ja jesteśmy dorośli. Nikomu nic do naszych prywatnych spraw. Tak się składa, że negocjujemy cenę za ziemię po mojej mamie. Kiedy dojdziemy do porozumienia, zakończymy transakcję i wyjadę. Proste. - Popijała mrożoną herbatę i z trudem starała się trzymać nerwy na wodzy.

- Pani mama opracowała receptury, które przynoszą rodzinie krocie?

- Tak mi się zdaje.

- Założę się, że chciałaby pani uszczknąć trochę z tego tortu. - Craig pochylił się ku niej i mrugnął znacząco.

- Na pewno nie. Mama zrobiła to, będąc pracownicą firmy. - Mocno zacisnęła wargi.

- Musiała być wyjątkowo oddaną pracownicą. De Leonowie słyną z tego, że są doskonałymi pracodawcami. Pracownicy są jak rodzina, prawda?

- Oczywiście. Dlatego ludzie pracują u nich tak długo.

- Przypuszczam, że właśnie w taki sposób udało się Robertowi De Leonowi tak długo utrzymać swój romans w tajemnicy. Nikt nie chciał ryzykować utraty tak świetnej posady.

- Niechże pan da spokój! Na siłę szuka pan sensacji. Kogo obchodzi, co Robert De Leon robił w wolnym czasie? Dlaczego w ogóle miałoby to kogokolwiek obchodzić?

Nawet mrożona herbata nie mogła ostudzić jej emocji. Miała chęć rozdeptać tego wstrętnego robaka.

Dlaczego bronisz Roberta De Leona? Przecież traktował mamę jak niewolnicę? Powinien był się z nią ożenić, ale nie zrobił tego.

- Proszę! Oboje wiemy, że mieli romans.

- Mama powiedziała mi.

Wciąż bolało.

Ale utwierdzało ją w pewności, że mamie zależało na utrzymaniu swojej miłości w tajemnicy.

- Teraz pani i Naldo kultywujecie dziedzictwo. Dziedzictwo namiętności.

- Jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki.

Anna z trudem powstrzymała się przed rzuceniem w niego szklanką.

- Załatwiamy z Naldem interesy. Dlaczego nie zajmie się pan czymś naprawdę interesującym? To Izabela De Leon z tym do pana przyszła, prawda?

- Nie potwierdzam, nie zaprzeczam... - Mrugnął porozumiewawczo.

- Tak myślałam. - Rzuciła na stół pieniądze. Zła, że to ona go zaprosiła i musiała za niego zapłacić. Ale przynajmniej zdobyła informację, której szukała.

- Dziękuję za spotkanie - mruknęła i wyszła. Maszerowała chodnikiem, wściekła na dziennikarza, Izabelę, Nalda i na całe skomplikowane życie.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Izabela wyciągnęła rodzinny skandal na światło dzienne.

Czy chciała zranić Nalda? Zmusić go w ten sposób do sprzedania posiadłości?

Gniewała ją postawa Izabeli. Jej postępowanie wobec brata.

Ale właściwie dlaczego? Przecież dla niej samej Naldo nic nie znaczył, prawda?

A jeśli nawet było inaczej, to zasługiwał na to, co go spotkało.

Nie zdołała przekazać Naldowi tej wiadomości, że to Izabela była informatorem. Kiedy pojechała do głównego domu, Nalda tam nie było. Grał w polo w innym mieście.

Poprzedniego wieczoru Tom przywiózł jej do domku klejnoty. Kazała mu zanieść je na strych. W głównym domu przywitał ją zdawkowo. Nawet serdeczna zwykle Pilar wydawała się chłodna.

Wróciła do siebie i dalej pakowała rzeczy mamy. Chociaż chwilami zastanawiała się, po co to robi. Czy nie powinna zostawić wszystkiego bez zbędnych sentymentów?

Nastał wieczór. Słońce chowało się za horyzontem. Anna wyłączyła klimatyzator. W ciszy, jaka się zrobiła, wybuchła wrzawa ptasich głosów. Nie zwracała na nie do tej pory uwagi, chociaż każdego ranka chętnie słuchała ich śpiewów na pobudkę.

Stała w otwartym oknie i głęboko wciągała w płuca pachnące powietrze.

Łatwo się wyjeżdża po raz pierwszy. Ale po raz drugi nie jest to już takie proste.

Usłyszała warkot silnika. Wychyliła się. Próbowwała zobaczyć coś za węglem. Silnik umilkł. Trzasnęły drzwi.

Wspaniale. Znowu Naldo zobaczy ją w pizamie. Gorączkowo rozglądała się za jakimś ubraniem. Nie skończyła się jeszcze przebierać, kiedy usłyszała stukanie do drzwi.

- Idę!

W pośpiechu wciągnęła na siebie sukienkę. Była przekonana, że drzwi za chwilę się otworzą.

Ale tak się nie stało. Zmarszczyła brwi. Dziwne.

Naldo czekał za drzwiami?

Otworzyła je.

- Czemu zawdzięczam ten niespodziewany honor? - Gestem zaprosiła go do środka.

Popatrzył na nią z wielkim bólem w oczach. Wszedł do kuchni, rozłożył trzymaną pod pachą gazetę i położył na stole.

- Już pokazywałeś mi ten artykuł - powiedziała cicho. Naldo stał bez ruchu.

- Czytaj - rzucił.

Dziedzictwo namiętności, przeczytała nagłówek na pierwszej stronie. Zacisnęła pięści. *Córka pracownicy De Leona podtrzymuje tradycję. Romans z szefem*, czytała dalej.

Serce podeszło jej do gardła. Uniosła głowę i popatrzyła na Nalda.

- Co...?

- Czytaj.

Rozmowa z Anną Marcus, córką pracownicy De Leonów, Leticii Marcus, rzuciła nowe światło na prawne komplikacje w posiadłości, o których pisaliśmy we wczorajszym numerze. Panna Marcus, uroczą dwudziestosześcioletnią blondynką, przybyła do miasta, by się uporać z romansem swojej matki i... rozpocząć swój własny.

- To jakieś bzdury - zawołała.

- Naprawdę? Usłyszał to od ciebie. - Wzrok Nalda był zimny jak lód.

- Nieprawda! Wszystko zmyślił. To szaleństwo. - Czują, jak jej serce wali o żebra.

- Och, czyżby? Teraz to ty zdaje się masz problem z prawdą.

- Nie powiedziałabym, że mamy romans - powiedziała niepewnie.

- To jak byś to nazwała? A jak wyjaśnisz cytaty?

- Jakie cytaty?

- Czytaj dalej.

Ona i Naldo mają za sobą żarliwą przeszłość. „Wiele czasu spędzaliśmy wtedy razem - przyznaje atrakcyjna panna Marcus. - Naldo i ja jesteśmy dorośli. Nikomu nic do naszych prywatnych spraw”.

- Te słowa są całkiem wyrwane z kontekstu! - Przycisnęła dłoń do ust.

- A więc przyznajesz, że z nim rozmawiałaś?
- Owszem, ale tylko dlatego, że chciałam się dowiedzieć, kto stał za
wcześniejszym artykułem. To była Izabela.

- Tak powiedział?
- Noo, nie wprost... - zawahała się. Pryszczytaty gnojek wykorzystał ją.
- Wiele czasu spędzaliśmy wtedy razem? - Zaśmiał się gorzko.
- Mówiłam o tym, że dużo graliśmy w tenisa. Nie mogę uwierzyć, że
napisał to tak, żeby brzmiało...

- Intymnie? - Wbił w nią twarde spojrzenie. Przełknęła ślinę.
- Czytaj dalej. Teraz nastąpi najlepsze. Albo ja przeczytam. - Wyjął jej
gazetę z rąk i zaczął czytać na głos:

*- Panna Marcus ma wiele powodów, żeby szukać ukojenia w ramionach
dawnego kochanka. W ubiegłym roku rozwiodła się po pięciu latach małżeństwa
i ogłosiła upadłość.*

Głośno wciągnęła powietrze. Ostatnie słowo zawisło w powietrzu. Po
długiej chwili Naldo czytał dalej:

*- Agencja nieruchomości, którą prowadziła wraz z mężem, Barrym
Lennoksem, popadła w tarapaty po szeregu ryzykownych inwestycji, a wraz z
nią małżeństwo Marcus-Lennox. Splukana i rozwiedziona, panna Marcus znowu
padła w ramiona jednego z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi na
Florydzie, cytrusowego dziedzica, Reynalda De Leona. - Kiedy na nią popatrzył,
jego oczy przypominały wąskie szparki. - Reynaldo De Leon i Anna Marcus nie
tracili czasu. Znow zapłonął stary ogień. Poszli w ślady rodziców, Roberta De
Leona i jego kucharki, Leticii Marcus. - Urwał. Wbił w nią spojrzenie, od któ-
rego zadrżały jej kolana. - Od dawna słysząc pogłoski, że ostatnia pani De Leon
nie zginęła w wypadku. Nie od dziś się mówiło, że wiadomość o romansie
Roberta De Leona z kucharką pchnęła ją do samobójstwa. - Ostatnie słowa
przeczytał z ponurą emfazą.*

- O mój Boże! - Anna zasłoniła usta dłonią. - Czy to prawda?

- Tak. - Naldo cisnął w nią słowo jak kamień. - To prawda. Połknęła całą fiolkę tabletek przeciwbólowych. Znalazłem ją w jej sypialni. Próbowałem ją cucić, ale już nie żyła.

- Och, nie. - Krew uderzyła jej do głowy. - Romans zaczął się jeszcze za jej życia?

- Tak - przyznał z kamienną twarzą. - Mama wiedziała o wszystkim. Nie mogła żyć z taką hańbą.

Anna opadła na krzesło. Jej ojciec był żonaty, ale mama przysięgała, że nic o tym nie wiedziała. Dopóki nie zaszła w ciążę i nie powiedziała mu o tym.

A potem świadomie związała się z kolejnym żonatym mężczyzną.

I to zabiło tamtą.

- Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

- Dlaczego? To nie ma z tobą nic wspólnego. Ale teraz może zrozumiesz, dlaczego ojciec robił wszystko, żeby ta historia nigdy nie wyszła na światło dzienne. Przez całą dekadę płacił za milczenie. - Naldo wbił w ścianę bolesne spojrzenie. - Teraz, kiedy umarł, cisza została przerwana.

Anna nerwowo poruszyła się na krześle. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Ale czuła, że potrafi zrozumieć mamę. I jej potrzebę znalezienia się w ramionach silnego, czarującego i charyzmatycznego pracodawcy. Nawet za cenę wielu lat wyrzeczeń.

- Nie powiedziałaś mi, że zbankrutowałaś - przerwał szorstko jej rozmyślenia.

- Ja... - Zażenowanie zmąciło jej myśli. Niemal zapomniała o tym fragmencie artykułu. Teraz Naldo wiedział już wszystko.

Dlaczego ziemia nie chciała się otworzyć i jej pochłonać?

- Myślałem, że igrasz ze mną, bo nie potrzebujesz pieniędzy. Że to była dla ciebie taka zabawa. Teraz nie wiem, czy tak długo odmawiałaś sprzedaży domu z chciwości czy z głupoty?

- To prawda. Jestem splukana. - Jakże trudno przyszło jej to powiedzieć.

- Wiem. Zadzwoń do redakcji, gdy tylko to przeczytałem. Potem zbudziłem w domu reportera. Kiedy już przestał się jąkać, wyjaśnił mi, jak łatwo się dowiedzieć wszystkiego za pomocą wyszukiwarki internetowej i kilku telefonów do Bostonu. - Chociaż jego spojrzenie nadal było nieodgadnione, nie widział w nim wściekłości, której się spodziewała.

Westchnęła głęboko.

- Nie chciałam, żebyś się o tym dowiedział.

- Wiem - powiedział miękko.

- Nie gniewasz się?

- Że jesteś biedna? Skąd. - Uśmiechnął się. - Oczywiście, byłem trochę wkurzony, kiedy się okazało, że mnie oszukiwałaś. Ale jesteś kobietą dumną i nie chciałaś mojej litości. Szanuję to.

Coś dziwnego zaczęło się dziać w jej duszy. Dlaczego się nie wściekał? Nie mogła tego zrozumieć.

- Nie powiedziałam ani słowa z tego, co tam napisano.

- Dziennikarz się zarzekał, że cytował cię dosłownie. - Uniósł brwi.

- Ale to są zdania wyrwane z kontekstu! Fragment o naszym związku to czysta spekulacja. Możesz wszystkiemu zaprzeczyć.

- Mogę? Ale przecież to prawda, czyż nie? Że zacytuję pewną moją narwaną przewrażliwioną znajomą.

- Nie jestem przewrażliwiona!

- Ale z „narwaną” nie dyskutujesz.

- Nie. - Przygryzła wargę. - Tak mi przykro, że dałam się wywieść w pole temu dziennikarzowi. Wpadłam w pułapkę. Jestem zażenowana tym, że wszyscy się dowiedzieli o mojej porażce. Nawet mamie nigdy o tym nie powiedziałam. Była ze mnie taka dumna.

Tylko nie płacz.

- Twój mąż ożenił się już ponownie? - spytał Naldo cicho.

- Spotykał się z nią, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem. O niczym nie wiedziałam. Byłam zbyt zajęta pracą. - Z trudem cedziła słowa. - Nie wiedziałam też, że podrabiał mój podpis i że kupował bez porozumienia ze mną kolejne nieruchomości. Kiedy rynek się załamał, byliśmy splukani i tonęliśmy w długach. Musieliśmy ogłosić bankructwo.

- Tak mi przykro.

- Niepotrzebnie. Miałeś rację. Nie chcę współczucia.

- Nie chcesz też moich pieniędzy, prawda? - Na czole pojawiła się mu głęboka bruzda.

- Nie. Nie chcę. Żałuję tylko, że tak bardzo ich potrzebuję.

- To nie wstyd brać to, co ci się słusznie należy.

- Nieprawda. Nie wierzę w karierę, która się zaczyna od spadku. Wolę zarabiać pieniądze.

Naldo słuchał uważnie. W jego oczach pojawiły się wesołe ogniki.

- Chcesz powiedzieć, że żeruję na moich przodkach?

- Ty to powiedziałeś.

Widziała, że rozważał starannie jej słowa. Bardzo ją to ujęło.

- Wcale tak nie myślałam. Widziałam, z jakim oddaniem sadziłeś i pielęgnowałeś drzewa. Z listów mamy wiem, że nikt w posiadłości nie pracuje tak ciężko jak ty.

Popatrzył na nią poważnie.

- Jesteśmy partnerami w tych staraniach.

- Partnerami na różne sposoby... czasami.

- Rzeczywiście - przyznał po chwili. Nabrała głęboko powietrza.

- Jestem pewna, że gdy tylko wyjadę, plotki na nasz temat ucichną. Założę się, że nie możesz się już doczekać, kiedy się stąd zabiorę - powiedziała bezbarwnym głosem.

Naldo spojrział na nią tak, że zadrżała.

- Mylisz się. Chciałbym, żebyś została.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dlaczego chcesz, żebym została? - Anna zamrugła, zaskoczona.

- Nie chcę, żeby nasza przygoda się skończyła - powiedział z przekonaniem.

- Nasz romans, który wywołał skandal w miejscowej gazecie?

- Właśnie tak - rzucił wesoło.

- Nie rozumiem. Wydawało mi się, że nienawidzisz plotek i insynuacji.

- To prawda. Ale są rzeczy, których nienawidzę jeszcze bardziej. Choćby tego, że nigdy cię nie zdołałem pokonać w tenisa. Albo tego, że nie całuję twoich ust, żeby cię uciszyć. - Uśmiechnął się. I znów miał dołeczki w policzkach.

Nie musiał jej całować. Zaniemówiła i bez tego. Dopiero po chwili odzyskała głos.

- Ale czy moja obecność nie przypomina wszystkim o tym, że twój ojciec miał romans z moją mamą?

- Przypuszczam, że tak. - Nie przestawał się uśmiechać.

Anna nie mogła pozbierać myśli.

Czyżby się we mnie zakochał?

- Nadal nie rozumiem, co masz na myśli. Chcesz, żebym zatrzymała dom i zamieszkała tutaj?

- Och, nie. - Spowaźniał. - Możesz mieć o niebo wygodniejszy dom w mieście. Nową willę z basenem na przykład. Ten dom jest stary i ciasny.

Czy to tylko jego kolejna sztuczka, żeby mu sprzedała dom?

- Moja mama kochała ten dom.

- Wiem. Ojciec wciąż ją namawiał, żeby się przeniósła do większego, ale odmawiała. Niektórzy ludzie bywają strasznie uparci.

Uparci? Do czego zmierzał?

Wziął ją za rękę. Uniósł do ust. Pocałował. Zadrżała.

- Lubię, gdy jesteś w pobliżu. - Kiedy mówił, czuła na palcach ciepło jego oddechu. A jego słowa trafiały jej wprost do serca.

Ileż razy śniła i marzyła o tym, by Naldo De Leon poprosił, żeby z nim została.

- Nie martwisz się tym, co ludzie powiedzą? - zdziwiła się.

- Nie.

Zaprzagnęła go pocałować. Ale się powstrzymała.

- Dlaczego? Myślałam, że ty...

- Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Spojrzał jej w twarz. Jej wargi same się rozchyliły. Policzki oblał rumieniem.

Powoli się pochylił. Ich usta spotkały się w pół drogi. I choć odbyło się to jak w zwolnionym tempie, skutek był zdumiewający. Nagle jej ręce znalazły się na jego szyi. W zaciśniętych pięściach miała jego koszulę. Wplatała mu palce we włosy.

Objął ją ciasno i z pasją przytulił. I całował, jakby świat się kończył.

Kocham cię, Naldo.

Ta myśl podążała za nią już od dawna. W jego objęciach dygotała z podniecenia. I było jej naprawdę dobrze.

Ale co dalej?

Przecież nie poprosił, żeby zamieszkała z nim. Nie oświadczył się.

Cofnęła się o krok. Jej usta drżały od tłumionego płaczu.

- Ty wcale nie chcesz tego romansu - rzuciła.

Oczy Nalda płonęły pożądaniem. Zamrugął, zaskoczony. A potem, bez słowa, pocałował ją ponownie.

Lecz znów go odepchnęła.

Jej serce ścisnęło się boleśnie. Naldo nigdy się z nią nie ożeni. Nie była hiszpańską księżniczką. Była tylko nieślubną córką kucharki. Nigdy nie będzie

pasować do jego świata. Świata trzystuletniej porcelany i czterystuletnich przesądów.

Oczywiście, pożądał jej. Pragnął ją całować i pieścić. Rozebrać i kochać się z nią do utraty sił.

Jej ciało także tego chciało. Natychmiast. Lecz w duszy wciąż słyszała ostrzegawcze szepty.

Znowu cię wykorzysta. Dostanie, czego chce, i odejdzie. I gdzie wtedy ty się podziejiesz?

- Nie chcę być niewolnicą bogacza.

- Nie będziesz niewolnicą bogacza - szepnął jej wprost do ucha.

Czyżby zamierzał mnie poprosić o rękę?

- Będziesz przyjaciółką bogacza. - Wziął ją pod brodę i uniósł do góry. -
A gdy przyjmiesz moją ofertę, będziesz bogatą przyjaciółką bogacza.

Uśmiechał się wesoło. Pewien siebie, w ogóle nie zakładał, że mogłaby odmówić.

- Cztery miliony dolarów. Mogą być twoje. Wystarczy jedno słowo.

Potężne uczucie wprawilo ją w drżenie.

Miłość?

Strach?

Raczej jedno i drugie.

- Czuję bicie twojego serca - powiedział Naldo.

Dotknęła ustami jego warg. Pocałowała. Wciąż nie mogła pojąć, co się dzieje. Czy to możliwe? Zbyt piękne, żeby było prawdziwe?

- Chcę się z tobą kochać - szepnął jej do ucha. Głaskał ją po plecach, coraz niżej i niżej.

Jej oddech stał się płytki i urywany. Mocniej przycisnęła stęsknione piersi do jego szerokiego torsu.

Chcę się z tobą kochać.

Lecz jej myśl znaczyła coś innego. Nie chodziło jej o fizyczny kontakt. Marzyła o czymś o wiele trwalszym.

Naldo uniósł skraj sukienki i wsunął dłoń między jej uda. Jej ciało wyprężyło się niecierpliwie, lecz podjęła jeszcze jeden wysiłek.

- Przestań, proszę - wyszeptwała drżącymi wargami. Zacisnęła powieki.

Za wszelką cenę starała się powstrzymać sztorm pożądania budzący się w jej wnętrzu.

Potężna dłoń Nalda zastygła nieruchomo. Jej ciepło zdawało się przenikać Annę na wylot.

- Przecież chcesz tego. - Jego niski głos kusił, budził pożądanie.

- Muszę pomyśleć - opierała się słabo. Spróbowała się uwolnić z jego objęć. Chociaż przecież wcale tego nie chciała.

- Stanowczo za dużo myślisz. - Naldo rozluźnił uchwyt. Jego oczy błyszczały. - Nadmiar myślenia może zaszkodzić. Czasem lepiej po prostu działać.

- Wszystko dzieje się tak szybko. Tak nagle. Najpierw chcesz się mnie pozbyć jak najszybciej, wciskasz mi pieniądze i chcesz, żebym zniknęła. Teraz mówisz, żebym została. To nie ma sensu.

Wciąż nie mogła się pozbyć przykrego wrażenia, że była to jakaś część jego planu. Że chodziło mu tylko o odzyskanie ziemi i klejnotów.

- Możesz mi wierzyć, że zrobiłem, co było w mojej mocy, żeby wszystko miało sens. - Dumnie uniósł głowę. - Powtarzałem sobie wiele razy, że dla posiadłości i rodziny będzie lepiej, jeśli wyjedziesz. Wiem też, że jako dziedzic majątku powinienem zawrzeć „rozsądne” małżeństwo. Ale nie chcę tego. Chcę ciebie.

Powiedział to z tak wielkim przekonaniem, że poczuła ucisk w sercu. Lecz jego słowa znaczyły dla niej coś zgoła innego.

Miał rację.

Nigdy nie będzie mógł się z nią ożenić.

I nawet nie przyszło mu do głowy, że mówiąc to głośno, mógł ją zranić. Sam pomysł musiał być dla niego tak nedorzeczny, że w ogóle nie brał go pod uwagę.

Wyrwała mu się. Głęboko wciągnęła powietrze. Powoli zaczynało do niej docierać, co jej zaproponował. Cztery miliony dolarów. Ale Izabela powiedziała, że oferta może stracić ważność.

Naldo przyglądał jej się z wyczekiwaniem.

- Jeśli chcesz, możesz nadal tutaj mieszkać - podkreślił. - Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Zdobył się na wielkie wyrzeczenie. Plotkarze i oszczercy będą zacierać ręce z radości. Ale pokusa była olbrzymia.

Skoro zrobił już ten nierozważny krok i uległ pożądaniu, to może kiedyś, pewnego dnia, zrobi krok jeszcze bardziej nierozważny...

A jeśli nie zrobi?

Jeśli wykorzysta ją tak, jak dwaj inni mężczyźni wykorzystali jej mamę?

To złamałoby jej serce.

- Myślę, że powinienes już iść - upomniała cicho.

Jakże pragnęła, żeby został. Żeby ją wziął w ramiona i obiecał... to niemożliwe.

Naldo sięgnął do kieszeni.

- To jest kontrakt. Poprawiony. Przeczytaj. Żebyś wiedziała, że mówiłem poważnie. - Położył na stole wąską kopertę.

Musnął jej usta szybkim pocałunkiem i wyszedł. Anna opadła na krzesło. W głowie miała kompletny mętlik.

Mogła mieć to wszystko. Niewyobrażalnie dużo pieniędzy i wspaniałe życie w najpiękniejszym miejscu na ziemi.

Tylko na jak długo?

Ziemia. Dom. Czy mogła sprzedać to, co jej mamie było najdroższe?

A co z recepturami? Może powinna najpierw dokładnie zbadać, czy nie należałoby starannie strzec praw mamy?

Nie. Mama pracowała wtedy w posiadłości. Dla ludzi, których kochała.

Wzięła ze stołu przepiękną księgę i przekartkowała ją pomału. Delikatne kreski ilustracji odkrywały zupełnie nowe oblicze szorstkiego dziedzica, który jej mamie dał szczęście.

Kiedy teraz sięgała pamięcią wstecz, zaczęła myśleć, że być może mama próbowała jej powiedzieć o swojej miłości. Strzępki zdań, wyrwane z zakamarków pamięci obrazy... Nowe drzewka, jasny wzrok mamy...

A z drugiej strony ona, bezkompromisowa nastolatka, która stanowczo oddzielała ich maleńką rodzinę od potężnych De Leonów.

Mama postanowiła zatem milczeć. Kryć się ze swoją miłością. Dla Anny.

Wcisnęła dłoń do ust, żeby nie zapłakać. Wszystko albo nic, taka jesteś, Anno. Musisz mieć wszystko albo nie chcesz niczego. Czymże się różniła od Nalda? Też chciała, żeby wszystko było czarne albo białe.

Pragnęła małżeństwa, życia w miłości, prawdziwej rodziny, w której jej dzieci będą miały i matkę, i ojca.

Mama miała chyba rację, tając przed nią swój romans z Robertem De Leonem. Anna robiłaby jej wymówki. Pytałaby: „Dlaczego on się z tobą nie żeni?”. Nie rozumiałaby.

Teraz zrozumiała. Szkoda, że po własnym rozwodzie.

Nie tak łatwo znaleźć miłość.

Mama musiała się pogodzić z tym, że Robert De Leon nigdy się z nią nie ożeni. I znosić przeciwności losu.

Wstała i zamknęła książkę.

Czy mogła postąpić tak samo z Naldem? Czy mogła się pogodzić z tym, że życie nie jest czarne i białe, że nie da się mieć albo wszystko, albo nic? Czy mogła pokochać tego pysznego i wymagającego człowieka, mimo że nigdy nie miałyby zostać jego żoną i partnerką?

Czy mogła? Chyba nie.

Anna pojechała do miasta po zakupy. Postanowiła ugotować sobie porządny obiad. Ustawiła furgonetkę blisko domu. Zamierzała rozpakować ją następnego ranka.

Miała właśnie usiąść do stołu, żeby zjeść sałatkę z kurczakiem, kiedy usłyszała przed domem warkot samochodu.

Wyrzała przez okno i natychmiast straciła apetyt.

To była Izabela.

Pobiegła do drzwi i przywitała ją w progu.

- Siadam właśnie do kolacji. O co chodzi?

- Naldo powiedział, że wciąż jeszcze nie sprzedałaś. - Głos jej drżał.

Anna zastanawiała się, czy naprawdę, czy udawała.

- Co próbujesz zrobić? Nie wiesz, że każdy kolejny dzień twojego pobytu przedłuża skandal?

- Musisz mieć nerwy ze stali, żeby mówić mi o skandalu, skoro sama zaniosiłaś wszystko do gazety.

- Myślałam, że przekonam Nalda, żeby sprzedał posiadłość. Że plotki i komentarze sprawią, że zapragnie stąd wyjechać. Nigdy nie miałam zamiaru ujawnić im, że mój brat zadaje się z córką kucharki. Ale jak widać i jemu, i tobie brak wstydu. Niechby się tylko o tym dowiedzieli europejscy paparazzi!

Anna omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Żartujesz! Co europejskich paparazzi mogłyby obchodzić sprawy z sennego miasteczka na Florydzie?

- Nie spodziewałam się, żeby ktoś taki jak ty mógł to zrozumieć. - Izabela pogardliwie wydeła wargi. - De Leonowie są jednym z najstarszych rodów w Europie. Wszystko, co nas dotyczy, budzi zainteresowanie.

Chyba w twoich snach. Anna skrzyżowała ramiona i milczała.

- Mam pozycję w świecie sztuki - zapiszczała Izabela. - Stanę się pośmiewiskiem.

Anna stłumiła chichot. Nie chciała obrażać Izabeli. W końcu była to siostra Nalda.

- Może więc powinnaś natychmiast wrócić do Paryża i zadbać o swoją reputację? Jeśli pozwolisz, chciałabym zjeść kolację.

- Posłuchaj - wbiła w Annę wzrok - jeśli stąd nie wyjdiesz, natychmiast, zniszczysz Nalda tak, jak twoja matka zniszczyła naszą rodzinę. Masz na niego zły wpływ. Zupełnie jak twoja matka na naszego ojca. Stracił przez ciebie poczucie przyzwoitości. Twój przyjazd przyniósł naszej rodzinie tylko skandal i hańbę. Weź pieniądze albo ich nie bierz, jeśli jesteś zbyt uparta, żeby przyznać, że ich potrzebujesz, ale wyjedź, zanim sprowadzisz na nas kolejne nieszczęścia.

Zakręciła się na pięcie i pomaszerowała przez wysoką trawę do auta.

Anna oparła się o futrynę. Serce jej waliło. Słowa Izabeli dotknęły ją do głębi. Ale gdy słońce skryło się już za drzewami, otrząsnęła się.

Naldo na pewno nie stracił poczucia przyzwoitości. Musiał powiedzieć siostrze o tym, że Anna zostaje w posiadłości, i bronić tej decyzji, skoro Izabela przyjechała w takim nastroju.

Poczuła ciepło na sercu. Może jeszcze nie wszystko stracone? Nie potrafiła przewidzieć przyszłości, ale jednego była pewna: znalazła dom. Pełna nadziei położyła się spać.

Zbudziła się i odruchowo spojrzała na zegar. Dwadzieścia trzy po pierwszej w nocy. W nozdrzach miała niepokojący zapach dymu.

Dym?

Włączyła lampę. Wszystko w porządku. Spróbowała nasłuchiwać, lecz szum klimatyzatora zagłuszał wszystko. Działo się jednak coś niedobrego.

Wyskoczyła z łóżka z walącym sercem. Gryzący zapach stawał się coraz silniejszy.

Wciągnęła na piżamę koszulkę i szorty. Stopy wsunęła w tenisówki.

Jaskrawe światło gołej żarówki na korytarzu oślepiło ją. Wciąż czuła zapach dymu.

Zdenerwowana, zeszła na dół.

I wtedy zobaczyła.

Kula ognia za kuchennym oknem. Nie od razu się zorientowała, że to płonęła jej furgonetka. Płomienie strzelały wysoko w czarne niebo.

Rzuciła się do telefonu. Cudem nad sobą panując, zdołała przekazać wezwanie straży pożarnej. Ale kiedy się rozłączyła, zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Puściła się biegiem w poszukiwaniu ogrodowego węża.

Gdzie on jest? Nie mogła sobie przypomnieć. Ogień ryczał już ogłuszająco. Wtedy jej serce omdlało. Uświadomiła sobie, że lada moment furgonetka eksploduje. Przy samej ścianie domu. Wśród wysokiej trawy.

Szarpiąc się z poskręcany gumowym węzem, pomyślała ponuro, że dobrze się stało, że nie mogła sobie pozwolić na napełnienie zbiornika samochodu do pełna. Po długiej minucie żałośnie wąski strumień wody zaczął wypływać z węża.

Wtedy zobaczyła pierwsze języki ognia pełzające wśród trawy. Kolana jej zmiękły. Za chwilę było ich więcej. Sucha trawa płonęła, sypiąc w górę iskrami.

Skierowała strumień wody na najbliższy jezor ognia. Zgasł. Lecz zaraz obok pojawiły się trzy następne. Coraz ich więcej. Coraz szybciej zbliżały się do domu.

- Hej! - Aż podskoczyła. To Naldo nadbiegł z ciemności. - Dobrze się czujesz? Nic ci się nie stało?

- Nic mi nie jest. Nawąchałam się tylko dymu.

- Daj mi to. - Zaczął polewać teren między samochodem i domem. W tym momencie eksplodowała przednia szyba pojazdu.

Naldo przewrócił Annę na ziemię i zasłonił sobą. Pościerane łokcie i kolana piekły ją okropnie.

- Nie wstawaj. Zbiornik z paliwem może wybuchnąć.

- Jest pusty - jęknęła. - Ale samochód jest pełen. Wszystkie rzeczy mamy...

Naldo wstał i podniósł ją.

- Wezwałem straż pożarną, ale przyjadą dopiero za kwadrans. Ricky czerpie już wodę ze zbiornika irygacyjnego. Powinien przyjechać lada moment. Co się stało?

Anna przydeptała iskrę, która spadła u jej stóp. Potem następną. Naldo skierował strumyk wody na trawę.

- Nie wiem - odparła. - Zbudziła mnie woń dymu. - Żar robił się nieznosny. - Furgonetka już się paliła.

Deptała rozpaczliwie dookoła, usiłując gasić kolejne zarzewia. Tymczasem płomienie zaczęły lizać ścianę domu.

Naldo rzucił się tam z węzem. Lecz cóż mógł poradzić? Cienki strumyk ginał w morzu ognia z głośnym sykiem.

Pękło okno. Odłamki szkła rozprysły się dookoła. Odruchowo zasłoniła twarz i poczuła ból w ramieniu.

- Zraniło cię? - spytał Naldo z prawdziwą troską.

- O mój Boże! Ogień jest w środku.

- Ricky! Tutaj, tutaj! - krzyknął Naldo. Machał gorączkowo w stronę traktora ciągnącego przyczepę z wielkim plastikowym zbiornikiem. Za traktorem biegli inni pracownicy.

- Ogień wali przez drogę. Do sadu - zawołał Ricky.

- Kopcie rów! Nie może dotrzeć do drzew - krzyknął Naldo. Chwytał Annę za ramię. - Domu nie da się już chyba uratować. Trzeba ratować sad. Zostaniemy tu we dwoje.

- O Boże! - Okno na piętrze wypadło wraz z framugą. Naldo odciągnął ją poza sypiące się odłamki.

- Książka kucharska - jęknęła. - Jest na piętrze. Czytałam ją przed snem. I klejnoty. Są na strychu.

- Nic nie możemy zrobić.

- Muszę je ratować. Wejdę tylnymi drzwiami. - Tam nie było jeszcze płomieni. Wciąż była szansa.

- Nie. - Naldo boleśnie ścisnął jej ramię. - W każdej chwili wszystko może się zawalić.

Nieustannie polewał trawę wokół domu. Wysoka, nieskoszona, paliła się jednak jak pochodnia.

- Powinna była pozwolić Ricky'emu ją ściąć - szepnęła płaczliwie.

- Tak - rzucił Naldo przez ramię. Skierował strumień trochę dalej, gdzie ogień jeszcze nie dotarł. Żeby chronić drzewa, które niedawno posadził jego ojciec.

Oddał jej wąż. Z komórki chwycił szpadel i zaczął kopać rów na drodze ognia. Potem kolejny. I następny. Po chwili usłyszeli wycie syren i warkot motorów.

- Strażacy! - zawołała.

Wtedy z okien na poddaszu strzeliły jęzory ognia.

Stała bez ruchu ze ściśniętą krtanią. Po policzkach spływały jej łzy. Wszystko pochłaniał gorejący, huczący, czerwony potwór. Dom, książkę kucharską, klejnoty... Wszystko, co ją łączyło ze światem Nalda.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zza węgła wybiegł strażak. Zdarł z twarzy maskę tlenową i krzyknął:

- Uciekajcie stąd. Dom lada chwila się zawali.

Anna jak we śnie patrzyła na tańczące po dachu płomienie. Wciąż nie mogła pojąć, co się stało.

- Chodź! - Naldo pociągnął ją za rękę. - Już po wszystkim.

- Nie! Nie mogę odejść! Wszystkie rzeczy mamy!

- Anno - objął ją - zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Odejdź, zanim coś ci się stanie. - Przez krótką chwilę, zamknięta w jego silnych ramionach, przestała się bać.

- Naldo! - rozległ się krzyk. Z ciemności wyłonił się usmolony człowiek, którego Anna nigdy wcześniej nie widziała. - Stary sad... Konary są strasznie suche. Ogień rozchodzi się strasznie szybko.

Naldo zaklął pod nosem. Trzymając ją za rękę, ruszył biegiem.

- Anno, musisz wrócić do domu. Weź mój samochód. Kluczyk jest w stacyjce.

- Nie mogę. Chcę pomóc.

- Nie.

- Proszę! - Miałaby siedzieć w domu, gdy on się naraża na niebezpieczeństwo?

- Wszystko będzie dobrze. - Naldo położył jej ręce na ramionach. - Tylko bym się o ciebie martwił. Jedź do domu i powiedz Pilar, że proszę, żeby dała ci pokój.

Zawahala się. Popatrzyła przez ramię na strzelające w niebo płomienie.

- Idź - powiedział miękko.

- Dobrze. Uważaj na siebie, Naldo.

Pocałował ją namiętnie, odwrócił się i pobiegł. Gryzący dym utrudniał patrzenie. Chwiejąc się, szła wśród wozów strażackich, migających świateł i biegających wokół ludzi.

Dotarła do samochodu. Drżącymi palcami przekreśliła kluczyk w stacyjce. Ruszyła.

- Co ja narobiłam? - wyszeptała.

Duży dom tonął w powodzi świateł. Przerażony personel biegał wokół podjazdu.

- Jesteś ranna! - zawołała Pilar. Anna popatrzyła po sobie. Wyglądała strasznie.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - To tylko sadza. Czy przyjadą jeszcze inni strażacy? Ogień się rozprzestrzenia.

- O mój Boże! - Pilar załamała ręce. - Próbują znaleźć wolne oddziały w całym hrabstwie. Ale jest strasznie sucho i wieje silny wiatr. Są jeszcze inne pożary... - Chwyciła Annę za ramię. - Czy ktoś jest ranny?

- Kiedy odjeżdżałam, nie. Ale na drodze stał ambulans.

- Ty! - usłyszały krzyk. Na schodach stała Izabela. - To twoja wina! Ostrzegałam cię. Wiedziałam, że ściągniesz na nas nieszczęście. - Przyłożyła chusteczkę do oczu. - Czy mój brat jest bezpieczny?

- Tak - wyjąkała Anna zduszonym głosem. - Został ratować sad.

- Sad płonie? - Izabela wbiła w nią mordercze spojrzenie.

Pokiwała głową.

- Mówiłam ci, żebyś wyjechała. Mówiłam! - Teatralnym gestem Izabela owinęła się szalem, zakreśliła się na pięcie i zniknęła w domu.

- Jest bardzo poruszona. - Pilar położyła Annie rękę na ramieniu. - Wcale tak nie myśli. Boi się o brata. Tylko on jej został z całej rodziny.

Anna chlipnęła cicho. Może Izabela ma rację? Może to wszystko jej wina?

- Idź, weź prysznic. Przygotuję ci pokój.

- Dobrze. - Poszły na piętro. W łazience Anna unikała lustra. Rozebrała się szybko i weszła pod strumienie gorącej wody.

Myślami wciąż była przy Naldzie. Niemal widziała go wśród dymu i płomieni.

Kocham go.

Gdy się kąpała, ktoś zabrał jej brudne ubranie. Na łóżku leżała prosta bawełniana koszula nocna.

Anna ubrała się i stanęła w otwartym oknie. Nie widziała ognia, ale wyraźnie czuła swąd spalenizny. Słyszała też dalekie krzyki.

Wszystko przepadło. Nie została żadna pamiątka, żaden ulubiony przedmiot mamy.

I klejnoty.

Rodzinne klejnoty Nalda obróciły się już pewnie w popiół. Dlaczego się uparła, żeby je trzymać w domku? Przecież powinny były leżeć w sejfie.

I wszystko zapewne było nieubezpieczone. Jak to u De Leonów.

Chłodny powiew sprawił, że zadrżała. W tym samym momencie ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę.

- Pani Marcus? - W drzwiach stał obcy mężczyzna w mundurze. - Inspektor Davis. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

- Och! - Poczowała na plecach lodowaty jęzor strachu. Czyżby sądzili, że to jej wina? - Nie mam pojęcia, jak to się stało. Zbudził mnie zapach dymu.

- Czy mogę wejść? - Wszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Hm, oczywiście.

Był młody, miał błękitne oczy i rumianą twarz.

- Jak słyszałem, między panią i panem De Leonem powstał spór dotyczący domku i ziemi.

- Nieprawda. Miał zamiar je ode mnie kupić.

- Ale pani nie sprzedała.

- Nie. Jeszcze nie, ale... Czy jestem o coś oskarżona?

- Badamy sprawę pożaru. Podejrzewamy podpalenie. Na trawniku znaleziono ślady benzyny.

W głowie Anny zaświtała myśl. Jedno imię.

Izabela.

Siostra Nalda nienawidziła jej i chciała się jej pozbyć. Najpierw ten artykuł w gazecie. Czyżby się zdobyła na podpalenie?

Wzięła głęboki oddech.

- Myślę, że wiem, kto to mógł zrobić.

Za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju Anna krążyła nerwowo od ściany do ściany.

Jak było do przewidzenia, młody policjant przesłuchał Izabelę. W rezultacie nawymyślała mu po francusku i spoliczkowała go. Wtedy zabrano ją na posterunek.

Kiedy tak krzyczała, płakała i szarpała się, Anna utwierdziła się w przekonaniu o jej winie.

Gdy wyprowadzono Izabelę z domu, zapanowała przykra cisza. Anna wymknęła się z pokoju. Chciała się dowiedzieć czegoś o Naldzie.

W kuchni Pilar pochlipywała nad zlewem. Tom ją pocieszał.

- Biedna panna Izabela. Naldo będzie zły, kiedy się dowie. Najpierw pożar, teraz to!

- Zabrali ją na przesłuchanie? - spytała Anna od drzwi.

- Aresztowali ją! Poturbowała policjanta. - Pilar schowała twarz w ręczniku. - Ona jest taka zapalczywa, taka dumna. Ale nigdy by nie zrobiła czegoś takiego. Nigdy!

- A co z pożarem? Są jakieś wiadomości?

- Tak. Dzięki Bogu, wszystko jest już pod kontrolą. Naldo dzwonił niedawno. Dogaszają teraz dom i rozgrzebują pogorzeliśko, żeby nic się nie

żarzyło. - Popatrzyła na Annę opuchniętymi od płaczu oczami. - Tak mi przykro. To był dom twojej mamy.

- Mnie też. - Naldo był cały. Tylko to się liczyło. Zapraagnęła znaleźć się w jego silnych ramionach.

- Naldo wrócił! - zawołał ktoś z korytarza. Anna pobiegła do wejścia.

- Naldo!

Był brudny, ale cały i zdrow.

- Zabrali Izabelę. - Mocno ścisnął ramię Anny.

- Dlaczego?

- Sądzą, że to ona podłożyła ogień.

- Bzdura! Jadę na posterunek. Poczula, że traci go bezpowrotnie.

- Naldo, pomyśl tylko - powiedziała słabo. - Mogła podłożyć ogień, żeby się mnie pozbyć. Przyjechała do mnie poprzedniego wieczoru i powiedziała, że sprowadzam nieszczęścia...

Umilkła pod ciężarem jego spojrzenia.

- Uważasz, że moja siostra mogłaby podłożyć ogień w posiadłości? Ona ma trudny charakter, nie przeczę. Ale znam ją jak siebie samego. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Nigdy.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Jeśli jest niewinna, nic jej nie zrobią. Proszę, nie odchodź...

Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem.

Na pewno to Izabela podłożyła ogień. Oczywiście trudno się dziwić Naldowi, że nie mógł się pogodzić z tą myślą, ale gdy się zastanowi, zrozumie.

- Oskarżyłaś panienkę Izabelę? - usłyszała zza pleców głos Pilar.

- Ja... Wczoraj wieczorem przyjechała do mnie z pogrózkami.

Pilar stała oniemiała. Jej rozchylone usta drżały. Przyjechała do posiadłości razem z matką Nalda ponad czterdzieści lat temu. Trudno się dziwić, że nie umiała się pogodzić z winą Izabeli.

Tom podszedł do Anny.

- Ogień nikomu już nie zagraża - oznajmił. - Czemu nie pójdziesz spać?

Pokiwała głową. Odprowadzana ciężkim spojrzeniem gospodyni, odeszła.

Nie da rady zasnąć, ale przynajmniej poleży, czekając na powrót Nalda.

Promień słońca padający na twarz obudził Annę.

Usiała na łóżku z bijącym sercem.

Zasnęłam?

Jak to możliwe po tylu przejściach? Wskoczyła z pościeli i podbiegła do okna. Słońce stało już wysoko. Musiało być około dziewiątej.

Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła swoje ubranie, uprane i uprasowane.

Obok leżała gazeta.

Pożar w posiadłości De Leonów - krzyczał wielki nagłówek na pierwszej stronie. Serce podeszło jej do gardła. Zaczęła czytać gorączkowo. Na szczęście napisał to inny reporter.

Minionej nocy ogień strawił starą chatę i kilka akrów sadu w posiadłości. Pożar gasiły oddziały straży pożarnej z całego hrabstwa. W chwili, kiedy oddawaliśmy materiał do druku, sytuacja była już opanowana.

Zwana „Paradiso” posiadłość De Leonów istnieje od ponad czterystu lat. W swojej długiej historii zaznała już podobnych dramatów. Czy ten będzie ostatni?

W nocy policja przesłuchała starszą siostrę właściciela Izabelę De Leon. Mówi się, że ma ona żal, że jej brat odziedziczył całą posiadłość. Czyżby podejrzewano ją o wywołanie pożaru?

Padaly też głosy, że pożar zniszczonej chaty mógłby służyć wyłudzeniu odszkodowania. Szybko się jednak okazało, że De Leonowie nigdy nie korzystali z ubezpieczeń, jak brytyjska rodzina królewska, której Zamek Windsor także nie był ubezpieczony, a którego pożar w roku 1992 kosztował dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

Czy nasza „królewska rodzina” przetrwa śmierć patriarchy Roberta De Leona, czy też młodzi członkowie rodu, nękani sprzeczkami o spadek i

pozbawieni doświadczenia przodków, zdecydują się wystawić czterystuletni majątek na sprzedaż? Wielu deweloperów chętnie wyrwałoby kawałek największej prywatnej posiadłości w centralnej Florydzie.

Anna zacisnęła powieki. Wyobraziła sobie, co Naldo czuł, gdy to przeczytał. Musiał to odebrać jak osobistą zniewagę. Zarzut, że nie potrafi rządzić rodziną i przedsiębiorstwem.

Jej nazwisko się nie pojawiło. Oznaczało to zapewne tylko tyle, że dziennikarze nie odkryli jeszcze, że spalony dom był tym, o który toczyła bój z Naldem. Ale kiedy się dowiedzą...

Serce jej waliło. Gdzie jest Naldo? Musiała się z nim zobaczyć, upewnić się, że...

Że co? Że nie przeklął jej i ziemi, po której stapała?

Ktoś włożył wiele pracy w upranie i wyczyszczenie jej ubrania i butów. To dobrze. Bo było to teraz wszystko, co posiadała.

Nie miała furgonetki. Ani domu. Ani klejnotów. Ani pieniędzy.

To nie może być prawda, to jakiś koszmarny sen.

Naldo powiedział: „Wszystko będzie dobrze”.

Będzie?

Usłyszała jakieś zamieszanie na parterze. Wyszła na korytarz. W drzwiach wejściowych stał Naldo. Obejmował szlochającą Izabelę.

Anna cofnęła się w cień.

- Przynieście mrożonej herbaty - warknął Naldo. - I dajcie jej coś jeść. Te bestie trzymały ją całą noc.

Zdażył się umyć i przebrać. Wyglądał sztywnie w eleganckim garniturze.

Ale twarz miał ściągniętą, pooraną głębokimi bruzdami. Gniewną. Żołądek Anny ścisnął się w twardą kulę.

Izabela wyglądała tragicznie. Wsparta na ramieniu brata, z rozmazanym makijażem. Naldo szepnął coś do niej i poprowadził do salonu.

Nagle podniósł wzrok.

Spojrzał na Annę lodowatym wzrokiem.

- Jak mogłaś to zrobić? - Jego głos zadudnił pod wysokim sklepieniem. -

Jak mogłaś oskarżyć moją siostrę o tak straszną zbrodnię?

Izabela przytuliła się do niego, a on pogłaskał ją po ramieniu.

- Jak przypuszczałem, to twój samochód spowodował pożar. Ta ruina na kołach miała usterkę w układzie elektrycznym i to wznieciło ogień. Paliwo na trawie było tylko tam, gdzie stała twoja furgonetka. Sączyło się z nieszczelnego zbiornika.

- Och! - Przygryzła wargę. Mocno.

Aż do bólu.

Proponował jej, że zadzwoni do mechanika. Wiedziała, że zbiornik troszkę przeciekał, ale zlekceważyła to.

- Co z domem? - bąknęła. - Czy coś ocalało?

- Nic. - Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, potem odwrócił się i wraz z siostrą zniknęli w salonie.

Przez cały ten czas Izabela się nie odezwała. Nawet Anna nie potrafiła sobie wyobrazić jej rozlewającej benzynę wokół domu.

Izabela była zamożna. Miała swoje życie w Europie. Na pewno chciała się Anny pozbyć, ale czy byłaby gotowa zaryzykować swoją wolność?

Bardzo wątpliwe.

A czy ze swoją neurotyczną naturą gotowa byłaby wystawić swoją reputację na pastwę dziennikarzy?

Nigdy.

Coraz bardziej sobie uświadamiała, jak ogromny błąd popełniła. Mróz zaczął przenikać ją do kości. Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi.

Rodzina i posiadłość były dla Nalda wszystkim. Ona zraniła go w obu punktach.

Zrozumiała, że już nigdy nic nie będzie dobrze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Naldo nie przyszedł do jej pokoju. W końcu zeszła na dół. Słyszała głosy zza drzwi salonu. Czy powinna wejść i przeprosić?

Bardzo żałuję, że nie pozwoliłam naprawić samochodu. I że zabrakło mi odwagi, żeby się przyznać, że mnie na to nie stać. Żałuję, że nie pozwoliłam skosić trawy. Żałuję, że trzymałam klejnoty w chacie. Żałuję, że nie wzięłam od ciebie pieniędzy, kiedy mi je dawałeś...

Zacisnęła pięści, aż paznokcie boleśnie wbiły jej się w skórę.

Żałuję, że cię pokochałam i nie chciałam wyjechać.

Była wszystkiemu winna. I wszystkie jej marzenia o beztróskim życiu w „Paradiso” legły w gruzach.

Oskarżyła jego siostrę o podpalenie. Owszem, Izabela miała naturę artystki operowej, ale podpalaczki czy potencjalnej morderczyni?

Musi przeprosić Izabelę.

Wyprostowała się, uniosła wysoko głowę i podeszła do drzwi.

Kiedy naciskała mosiężną klamkę, jej ręka drżała. Otworzyła drzwi. W salonie zrobiło się cicho.

Izabela leżała na sofie z głową na kolanach Pilar. W fotelu na biegunach siedział starszy mężczyzna, w którym Anna rozpoznała prawnika rodziny. Tom nalewał mu właśnie do szklanki mrożoną herbatę.

Nalda nie było.

Kiedy tylko Izabela ją zobaczyła, usiadła.

- Ty? Co ty tu jeszcze robisz? Ty chciwa dziwko, łakoma na cudze pieniądze, wynoś się!

Natychmiast prysł pokorny nastrój Anny. Zawrzała z gniewu.

- Nie poluję na cudze pieniądze - zaprotestowała. - Nigdy nie chciałam nic ponad to, co mi się należy.

- Dennis, mówiłeś, że ile ma dostać według kontraktu?

- Cztery miliony dolarów - odparł prawnik.

- Cztery miliony dolarów - powtórzyła Izabela zjadliwie. - Mój brat zaproponował ci cztery miliony dolarów, ale dla ciebie to za mało, prawda?

- Zamierzałam przyjąć te pieniądze.

- O! Zamierzałaś je przyjąć? A mój biedny brat się obawiał, że jesteś zbyt szlachetna i dumna, czy inne takie bzdury. Od dawna wiedziałam lepiej. Daj mi tę umowę, Dennisie.

Pochyliła się do przodu i wyrwała mu z rąk dokumenty.

- Cztery miliony dolarów. - Popatrzyła na Annę. - Za kompletnie zniszczone klejnoty.

Anna zacisnęła wargi. Izabela wodziła palcem po kontrakcie.

- Za dom, który jest stertą osmalonych gruzów. - Posłała Annie zimne przeszywające spojrzenie. - Za książkę kucharską, która jest tylko kupą popiołu. I za ziemię.

Izabela wstała. Podeszła do stolika i wymierzyła w Annę palcem.

- To jest ziemia mojego brata i dobrze o tym wiesz. Nadal masz zamiar wydrzeć mu te pieniądze? Po tylu nieszczęściach, które na nas sprowadziłaś? Spłonęło pięć akrów drzew pomarańczowych. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo to musiało Nalda zboleć? Kochał te drzewa jak, jak...

- Jak rodzinę - dokończyła Anna. Chociaż miała wrażenie, że powiedział to ktoś inny. - Mogę zobaczyć ten kontrakt?

- Nie możesz go podpisać - syknęła Izabela. - Nic ci się nie należy.

- Tu jest drugi egzemplarz - powiedział Dennis. - Pan De Leon chciałby zakończyć kwestię ziemi, więc gdyby pani zechciała...

- Ma pan pióro? - spytała Anna drżącym głosem.

- Oczywiście.

Anna szybko przekartkowała kontrakt, aż odnalazła stronę, na której wydrukowana była kwota. Cztery miliony dolarów. Skreśliła ją i wpisała jedynkę.

- Ziemia jest jego. - Odchrząknęła. - Czy ktoś ma dolara, żeby mi zapłacić? Chcę, żeby wszystko było zgodnie z prawem, a wiem, że przekazanie pieniędzy jest bardzo ważną częścią...

- Proszę. - Dennis wyjął banknot z portfela. Anna wzięła go i podpisała kontrakt.

- Gotowe. - Wręczyła dokument prawnikowi. Izabela zacisnęła usta, ale w jej oczach widać było satysfakcję.

- Gdzie jest Naldo? - Anna zdobyła się na zadanie tego pytania.

- Pojechał do sądu - powiedziała Izabela cicho. - Usiłuje ich przekonać, żeby wycofali zarzuty przeciwko mnie. Jestem oskarżona o napaść na policjanta i opór przy aresztowaniu. - Przez chwilę wpatrywała się w Annę. - Oczywiście obie wiemy, dlaczego zostałam aresztowana, prawda? Ponieważ zostałam fałszywie oskarżona o zbrodnię, której nie popełniłam. - Skrzyżowała ramiona. - Proszę, nie czekaj na Nalda. On nie chce cię widzieć.

Anna zamrugnęła. Oto, jak z dymem ulatywały jej marzenia.

Izabela podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

Anna wyszła.

Szła przez pusty hol z jednodolarowym banknotem w dłoni. W powietrzu wciąż czuć było swąd spalenizny.

Przyjechałam tu z niczym i z niczym wyjeżdżam.

I dobrze.

Przynajmniej nie odniosła żadnych obrażeń. Była młoda, silna i mądra i nie bała się ciężkiej pracy.

W miejscowym motelu była winna dwieście trzydzieści dolarów.

Właściciele wyglądali na miłych ludzi, więc może jej pozwolą odpracować dług? Warto spróbować.

Splacić długi i wynieść się z miasta. Plan krótki i prosty.

Spojrzała w stronę, gdzie za horyzontem stał motel. Znała dobrze te okolice i znała siebie. Wiedziała, że potrafi dotrzeć tam, idąc na przełaj. Dzięki temu nie będzie musiała oglądać pogorzeliiska. I ma szansę nie spotykać Nalda.

Na samą myśl o nim jej żołądek się ścisnął. Nie chciała spojrzeć mu w twarz.

Ofiarował jej tak dużo, a ona zadarła nos pod niebo i zrujnowała kawał posiadłości i reputację jego siostry. Czy mógłby jej to wybaczyć?

Wątpliwe. Rodzinne klejnoty przepadły. Książka kucharska obróciła się w popiół. Tak jak i wszystkie pamiątki po jej mamie.

Maszerowała piaszczystą dróżką. Delikatny wiatr niósł za nią aromat kwiatów pomarańczowych.

„Paradiso” nie będzie twoim domem.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się naprawdę samotna. Pragnęła wszystkiego, nie dostała nic.

Jej mama nie nazywała się De Leon, ale miała przynajmniej uczucie i dom.

Weszła między drzewa. Na gałęziach wisiały wspaniałe, dojrzałe pomarańcze. Nie jadła śniadania i była głodna, ale za nic nie tknęłaby niczego, co należało do Nalda. Nie zasługiwała na to.

Było późne popołudnie, kiedy dotarła do drogi. Słońce paliło niemiłosiernie. Rozglądała się, czyby ktoś jej nie podwiózł. Ale droga był pusta. Szła coraz wolniej. Stopy paliły ją coraz mocniej.

Wreszcie opuściła posiadłość.

Żegnaj.

Bolała ją głowa. Przycisnęła ręce do skroni. Zupełnie jakby słyszała galopującego konia.

Czyżby duchy przodków De Leonów chciały ją nastraszyć?

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w zaroślach. Zatrzymała się, przestraszona. Może to któryś z robotników szukał intruza?

Tętent zbliżał się niepokojąco. Nagle wielki, czarny rumak wypadł zza drzew tuż przed nią. Krzyknęła. Jeździec zebrał wodze i zatrzymał wierzchowca.

Naldo.

Zeskoczył z siodła, trzymając wodze w dłoni.

- Dokąd idziesz? - rzucił. Wyprostowała ramiona.

- Odchodzę. Nie zobaczysz mnie więcej. - Przełknęła ślinę. - Przepraszam za wszystko. Nie miałam zamiaru...

Patrzył na nią przez moment.

- Myślisz, że możesz tak po prostu odejść? - spytał. Zamrugła gwałtownie.

- Oddałam ci ziemię. Wiem, że tylko to zostało. Bardzo mi przykro. - Czują, jak miękną jej kolana. Jak mogła sobie wyobrazić, że ten skrawek ziemi zrekompensuje wszystkie straty?

- Ziemia? - Wydał lekceważąco wargi. - Naprawdę jesteś szalona.

Koń szarpnął wodzami. Naldo pogłaskał go po chrapach.

- Uważasz, że chodzi mi o pieniądze? Powiedział to z taką mocą, że zadrżała.

- Wiem, że źle postępowałam.

- Tak. - Pokiwał głową. - Masz rację. Jak na kogoś tak inteligentnego, czasami zachowywałaś się nadzwyczaj głupio.

Gniew ścisnął jej gardło. Naldo jej nienawidził.

- Nie obrażaj mnie. Wiem, ile ci jestem dłużna. Spłacę to. Popełniłam błąd. Każdy ma prawo się pomylić.

- Błąd? Tylko jeden? Policzmy... Odmowa naprawy samochodu. Odmowa skoszenia trawy. Upór w sprawie przechowywania klejnotów w chacie. Odmowa przyjęcia dużej sumy, którą ci proponowałem. Oskarżenie mojej siostry o podpalenie...

- Zamierzasz wytoczyć mi sprawę? - Dumnie podniosła głowę.

- Chyba powinienem. - Poklepał konia po grzbiecie. Jego oczy błyszcząły dziwnie. - Ale jesteś zbyt niebezpiecznym przeciwnikiem. Przy następnym starciu mógłbym stracić ostatnią koszulę.

Mimowolnie popatrzyła na jego rozpiętą koszulę, odsłaniającą muskularną pierś, i aż się skuliła.

- Kochasz to miejsce, prawda? - Naldo zaskoczył ją tym cichym pytaniem.

- Tak - szepnęła.

- Dlatego nie możesz odejść. Dlaczego nie przyjąłś pieniędzy?

Poczuła łzy pod powiekami. Nie mogła nic powiedzieć, więc kiwnęła tylko głową.

- Jesteś naprawdę szalona, Anno. - Pokręcił głową. Ściągnął brwi. - Zaproponowałem ci cztery miliony dolarów. Czy masz pojęcie, co większość ludzi zrobiłaby dla czterech milionów dolarów?

Wciąż nie mogła wydobyć głosu.

- A ty ich nie przyjąłś. Dla ciebie to za mało. - Wpatrywał się w nią w skupieniu.

- Wiem, że myślisz, że jestem zachłanna.

- Wiem, że jesteś zachłanna. - Podszedł do niej. - Ja też. Jesteśmy do siebie podobni. Oboje chcemy wszystkiego i nie godzimy się na mniej.

Podszedł jeszcze bliżej. Wypuścił wodze. Jego intensywne spojrzenie odbierało jej dech w piersiach. Czyżby zamierzał się mścić? Żeby już do końca życia nie wyszła z długów? Żeby na zawsze cierpiała za błąd, jakim było stanięcie na drodze Nalda De Leona?

Przemogła się.

- Wiem, że mnie nienawidzisz. Masz prawo. Jestem uparta, twarda i mało kobieca. Ambitna i agresywna. Całkowite przeciwieństwo większości kobiet. Jestem jędzą. Wciąż słyszałam to od mojego byłego męża. - Oddychała z trudem. - Możesz mnie nienawidzić, ile tylko zechcesz, ale i tak nie będzie to

równe nienawiści, jaką sama do siebie żywię. Nie próbuj się mścić. Szkoda twojego życia. I mojego.

Wpatrywała się w jego twarz wyczekująco. Widziała gniewne chmury na jego obliczu.

- Psiakrew, Anno...

Nie zdążyła nic powiedzieć, gdy znalazła się w jego ramionach. A jego usta wpiły się w jej wargi.

Fala gorąca przetoczyła się przez jej wnętrze. Kiedy poczuła język Nalda, zmiękla. Na szczęście trzymał ją mocno.

Świat przestał się liczyć. Przestał istnieć. Przywarła do niego z całej siły.

- Kocham cię, Naldo.

- Wiem. - Ujął jej twarz w dłonie. Czują na policzkach ciepło jego oddechu. - I ja ciebie kocham, Anno. - Odgarnął jej włosy z twarzy. -

Uwielbiam cię za to, jak walczysz o to, czego chcesz. Za to, że nie zadowalas się kompromisami.

Pocałował ją znowu. Tym razem było to delikatne muśnięcie. Lecz niesło potężne emocje. Poglaskał ją po policzku.

- Wiem, że kochasz to miejsce. Widziałem to w twoich oczach, w tym, jak się broniłaś przed sprzedażą domu. Woliałaś mieć tę ziemię niż pieniądze, o których wielu ludzi marzy po nocach. - Jego ciemne oczy pały.

- Zostań ze mną, Anno.

Każdy nerw jej ciała krzyczał „tak”. Ale nie mogła wydusić tego słowa.

- Nie chcę być twoją przyjaciółką, Naldo. Żyć w ukryciu, dopóki się mną nie znudzisz.

- Oczywiście, że nie. Dlatego właśnie cię kocham. Wszystko albo nic, Anno. - Uśmiechnął się radośnie. - Kiedy mi powiedzieli, że odeszłaś... - Potrzęsnał głową. - Potrzebuję cię, Anno. Tutaj. Przy mnie.

Nie wypuszczając jej dłoni, klęknął przed nią. Serce Anny waliło tak mocno, że omal nie rozsadziło jej klatki piersiowej.

- Anno - powiedział poważnym głosem. - Kocham cię i obiecuję dbać o ciebie i miłować cię na zawsze, jeśli zechcesz wyświadczyć mi ten honor i zostaniesz moją żoną.

Jego słowa zrobiły w jej głowie prawdziwe spustoszenie. Nie mogła pozbierać myśli. Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

A on patrzył jej w oczy wyczekująco.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak. - Słowo jeszcze nie przebrzmiało, gdy Naldo zerwał się na równe nogi i zamknął ją w objęciach.

- Należysz to tego miejsca tak samo jak ja - stwierdził.

Zamknął ją w potężnym uścisku, a ona przytuliła twarz do jego piersi. Gorące łzy zmoczyły mu koszulę.

- Tak. Tylko tutaj czułam, że jestem w domu. A ty jesteś jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochałam.

Naldo głaskał ją po głowie.

- Czasem trzeba coś stracić, żeby zrozumieć, jak bardzo się tego potrzebuje. - Jego głos wibrował emocjami. - Nie chcę stracić cię już nigdy więcej, Anno.

Kiedy sobie uświadomiła, jak niewiele brakowało, żeby straciła Nalda i wszystko inne, zadrżała.

- Tak mi przykro z powodu drzew i klejnotów, i domu. Gdybym tylko mogła...

- Cii. - Położył jej palec na ustach. - To tylko przedmioty. - Pocałunkami osuszał jej mokre od łez rzęsy. - W porównaniu ze wspólnym życiem nie mają żadnej wartości. - Wtulił twarz w jej kark. Anna objęła go ze wszystkich sił. Zastanawiała się, czy z nadmiaru szczęścia jej serce nie pęknie.

- Dobrze być w domu - szepnęła.

Gorące słońce i delikatny wietrzyk muskały ich rozpalone ciała. Po raz pierwszy w życiu Anna poczuła, że znalazła swoje miejsce na ziemi. Że zaczęła

zapuszczać korzenie w żyznej glebie, na której mogła się narodzić nowa gałąź czterystuletniego drzewa.

EPILOG

- To prawdziwy cud - powiedziała Anna. Siedzieli na kocu w cieniu pokrytych młodymi liśćmi drzew. Od pożaru minęło już sześć miesięcy i niewiele śladów pozostało po pożodze.

- To natura. I to chyba rzeczywiście jest cud. - Naldo pieszczotliwie pogłaskał szorstki pień. - Spójrz, jak się zablizniła spalona kora. Wyrosły nowe gałęzie. Żywotność drzew jest ogromna. W ich naturze jest się odradzać.

- Tak jak w naszej. - Ścisnęła go za rękę. - Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Tyle zrobiłeś dla tego sadu. I dla zjednoczenia rodziny.

- Ja? To dzięki tobie Izabela jest szczęśliwa. To ty mnie przecież namówiłaś, żebym jej kupił tę winnicę nad Loarą.

- Zasługiwała na to po tym wszystkim, co jej zrobiłam.

- Przestań się już obwiniać. - Pogłaskał ją po policzku. - Wszystko, przez co przeszliśmy, obaliło wiele murów między nami. Teraz rozumiemy się znacznie lepiej.

- To prawda. Ale na ślubie bawiła się wspaniale. Widać, że paparazzi ją uwielbiają. A ona umie się bawić.

Nie mogę uwierzyć, że tylu reporterów przyleciało z Europy.

- Bo to był ślub dekady. - Naldo mrugnął porozumiewawczo.

- Jezu! Mieliśmy raptem tysiąc gości! Zaprosisz sobie kilkoro znajomych i zaraz taka historia. Przynajmniej nie musimy się martwić o brak zdjęć. Ale mówiąc poważnie, bardzo się cieszę, że się nam poukładało z Izabelą. Zamierzam ją odwiedzić. Sugerowała nawet, żebym się zastanowiła, jak w naszych produktach wykorzystać jej winogrona. Chyba już jej nie oburza, że jestem córką kucharki.

- Tak, zwłaszcza od kiedy się okazało, że w kuchni jesteś geniuszem. A przy okazji, nie masz dla mnie jakiegoś nowego wyrobu do przetestowania?

- Może? - Z szelmowskim uśmiechem z piknikowego kosza wyjęła słoik. Wciąż nie umiała ukryć dumy z tego, że odziedziczyła po mamie taki talent.

Naldo położył się z rękami pod głowę. Anna odkręciła słoik i zanurzyła w nim palec.

- Spróbuj.

Nie kazał się długo prosić.

- Mmm-hmm. Pomarańcze z imbirem. - Oblizwał wargi. - Mogę cię tym wysmarować, a potem wylizać starannie?

Na samą myśl ciarki przebiegły jej po plecach.

- To byłby poważny test organoleptyczny. - Zarumieniła się.

Oczy mu pojaśniały.

- Dzięki takiej ciężkiej pracy nasze dochody wzrosły w minionym roku o dwieście procent - piał z dumy. - Jesteśmy to winni naszym klientom.

- To prawda. Nie wolno nam zaniedbywać naszych obowiązków.

- Mówisz jak prawdziwa De Leon. Ale zanim zaczniemy jeść, mam coś dla ciebie - wyszeptał wprost do jej ucha.

- Niech zgadnę. - Uśmiechnęła się bezwiednie. - Kolejny klejnot?

- Równie mądra co piękna. - Wyjął z kieszeni małe pudełeczko. - Zajrzyj. Tym razem Narcisio przeszedł samego siebie.

Anna uśmiechnęła się szeroko i zajrzała do pudełka. W ruinach spalonej chaty odnaleziono klejnoty rodzinne Nalda.

Drewniana skrzynka spłonęła, złoto się stopiło, ale kamienie zostały.

Naldo zaś czerpał niezrozumiałą przyjemność z obdarowywania jej kolejnymi cackami, które odtwarzał starannie jeden z jego dawnych kolegów.

- O! - Wysoko do słońca uniosła wisior z wielkim brylantem oprawionym w białe złoto. - Czy to jest Gwiazda Morza? Ten z Indii?

- Tak. - Pokiwał głową. - Przywiózł go mój przodek Pedro Amador De Leon. Musiał pokonać tygrysa maharadży, żeby go dostać. Mogę ci go włożyć?

- Oczywiście. Trochę mi żal tego tygrysa, ale kamień jest cudowny. I taki ogromny!

Palce Nalda łaskotały ją delikatnie w szyję, kiedy zapinał zameczek. Czowała na plecach ciepło jego uśmiechu. Wciąż była pod jego urokiem. I uwielbiała być przez niego rozpieszczana.

Kiedy się do niego odwróciła, popatrzył na klejnot.

- Ślicznie - pochwalił, patrząc jej w oczy. I pocałował ją. Odpowiedziała gwałtownie i zachłannie.

Kiedy po długiej chwili się odsunął, wyszeptał do jej ucha:

- Kocham cię, pani De Leon.

Anna wciąż nie mogła się nacieszyć nowym nazwiskiem. Nie z powodu jego potęgi i znaczenia, ale dlatego, że dzieliła je z człowiekiem, którego kochała.

Czteryście lat rozwoju, zmian i prężnego rozkwitu pulsowało w ziemi, w drzewach i w powietrzu. I nagle Anna poczuła się częścią tego wielkiego cyklu, tej namiętności do ziemi i do siebie nawzajem, której nic nie może zniszczyć.

